

II/1622/1K

WSPOMNIENIA SYBIRAKA  
=====

ZRABOWANE I ZNIEWOLONE DZIECIŃSTWO  
-----

Jestem stałym czytelnikiem publikowanych i ogłaszanych w środkach masowego przekazu wspomnień i relacji Polaków, którzy byli przymusowo deportowani i przeżyli piekło jakie zgotowali im stalinowscy oprawcy. Temat ten bardzo mnie interesuje ponieważ moi rodzice, rodzeństwo i ja na własnej skórze doświadczyli bolszewickiej niewoli, poniżenia i wyjątkowego cierpienia. Do niedawna wszystko to, co dotyczyło cierpień i przeżyć Polaków w sowieckim "raju" było zakazane lub świadomie zniekształcane. Głoszono różne teorie i brednie w postaci tzw. "planowego przemieszczania w głąb ZSRR", "rzuceniem przez los" lub "zawieruchą wojenną".

My, byli zesłańcy i niewolnicy sowieckiego reżymu, dobrze wiemy, że było to dobrze zaplanowane i przemyślane, zbrodnicze działanie bolszewickich oprawców, którego celem było fizyczne wyniszczenie całych polskich rodzin i dlatego sowieckie barbarzyństwa popełnione na Polakach nie mogą być wypaczane, zapomniane lub przedawnione.

Nasza gehenna, którą zgotowali nam sowieccy oprawcy, trwała 2.300 dni i nocy. Musieliśmy cierpieć za nigdy nie popełnione przewinienia, byliśmy winni bez winy. Poddano nas, sieroty, okrutnym i barbarzyńskim praktykom, nazywano i wyzywano nas "wrogami narodu" i "polskimi pamięszczykami", zabrano i zamordowano nam naszego ojca oraz zamęczono na śmierć naszą mamę i starszą siostrę. Uczyniono z nas na zesłaniu niewolników i żebraków, a skutki zesłania i cierpienia, jakie tam przeżyliśmy, pozostaną do końca naszego życia. Czy jest ktoś w stanie pojąć dramat zrabowanego, zniewolonego, zagłodzonego i umęczonego dzieciństwa małych i bezbronnych sierot?

Jedynym naszym przewinieniem było to, że urodziliśmy się Polakami.

Od początku naszej drogi przez mękę jaką zgotowali nam sowieccy barbarzyńcy, upłynęło ponad 50 lat, lecz nawet obecnie po latach, dramat i cierpienia tamtych straszliwych i ponurych 2.300 dni i nocy jest nadal żywy w mojej pamięci. Kiedy wywożono mnie na Sybir, miałem 11 lat i 3 miesiące, a kiedy wróciłem do upragnionej Polski, ukończyłem 17 lat i 6 miesięcy. Obecnie jestem starym człowiekiem, lecz nigdy nie zapomnę wszystkiego, czego doznaliśmy z rąk sowieckich oprawców - naszych cierpień i przeżyć.

- Pamiętam dobrze przeprowadzoną rewizję w naszym domu, wściekle i bezwzględne niszczenie pamiątek po naszym ojcu - błękitnego munduru hallerczyka, bojowych orderów, zdjęć, listów od rodzeństwa ojca z Francji itp. Nie zapomnę widoku, jak zakuwali w kajdany ojca oraz jak trzech uzbrojonych oprawców każdego ranka prowadzili ojca ze schronu - bunkra na przesłuchanie do siedziby H.K.W.D.
- Na zawsze pozostaną w mojej pamięci dantejskie sceny, jakie rozgrywały się w czasie zabierania nas z domu i umieszczanie w bydłących wagonach. Nie zapomnę determinacji i poświęcenia mojej mamy ratującej nas przed zamarznąciem i głodem w czasie 6-cio tygodniowego przewożenia nas na Sybir. Nie zapomnę widoku męczeńskiej śmierci mojej mamy i starszej siostry Janki oraz moją rozpacz, ból i bezsilność, kiedy przy 40 stopniowym mrozie kopałem grób, by móc pochować mamę.
- Do dziś mam przed oczyma widok nas wszystkich - poruszających się trupów, ubranych w kachmany, wygłodniałych, zawszonych, schorowanych, żebrzących i gniewających się w ziemiance. Głód, chłód i choroby towarzyszyły nam od początku do końca naszego zesłania. Stale zaglądała nam w oczy beznadziejna rozpacz i śmierć.
- Nie zapomnę naszej radości, kiedy po wyrwaniu się z przeklętego piekła sowieckiego, wracaliśmy do upragnionej Ojczyzny - Polski. Naszego spotkania z Polską, o której marzyliśmy przez 2.300 dni i nocy.

Wspomnienie, które opisałem w 9-ciu rozdziałach są tylko częścią naszych przeżyć, poniżeń i cierpień, jakich doznaliśmy z rąk bolszewickich oprawców, lecz jednocześnie są oskarżeniem i domaganiem się od obecnych władz sowieckich jako spadkobierców totalitarnego reżymu, zadośćuczynienia za zrabowany dorobek moich rodziców, za ~~zaniechanie~~ ~~na~~ śmierć w łagrach mego ojca, za męczeńską śmierć mojej mamy i starszej siostry, za barbarzyńskie metody i zbrodnicze eksperymenty, jakim byliśmy poddani, za niewolniczą pracę, za zrabowane i zniewolone dzieciństwo, za sierocość i cierpienia. Pragnę, ażeby moje wspomnienia, przyczyniły się do poszerzenia wiedzy o cierpieniach Polaków, skazanych przez bolszewików na deportacje i zsyłki.

Wrocław, grudzień 1990 r.

Marian Papiński  
ul. Słężna Nr 190/1  
53-113 Wrocław  
tel. 67-98-82



## ROZDZIAŁ I.

Przed wkroczeniem do Wołkowyska okupacyjnych wojsk sowieckich przez miasto przetoczyła się duża liczba wojska polskiego, przeważnie jechały konne tabory, na rowerach oraz bardzo dużo maszerowało piechoty. Widać było ogólny bałagan i duże podenerwowanie wśród oficerów i żołnierzy. Stałem obok szosy i wraz z kolegami przyglądałem się temu widokowi. Co jakiś czas żołnierze polscy, którzy maszerowali w małych grupach, pytali nas, chłopców, gdzie można schować broń - karabiny, granaty, szable itp. W baraku, w którym mieszkałem, od zewnątrz pod podłogą były otwory, które pokazywałem żołnierzom jako miejsce, gdzie można było chować różną broń - przeważnie karabiny i amunicję.

Żołnierze owijali karabiny w szmaty i wedle moich wskazówek chowali karabiny pod podłogę naszego domu. Podobnie w pobliskim lesie duże ilości broni - karabinów zakopywali. Każdy pragnął, ażeby polska broń nie trafiła do rąk sowieckich okupantów.

Po wkroczeniu do Wołkowyska - Centrali wojsk sowieckich, pierwszą ich instytucją, którą rozłokowali i uruchomili jej działalność] był N.K.W.D. /Narodnyj Komisariat Wewnętrznych Dziej/. Budynek, który zajęli na siedzibę N.K.W.D, był dotychczasową siedzibą miejscowej Dyrekcji P.K.P. Budynek ten mieścił się około 150 - 200 m od baraku kolejowego, w którym wraz z innymi kolejowymi rodzinami mieszkała nasza 9-cio osobowa rodzina i wówczas niespełna 11-letni chłopiec widziałem i na zawsze zapamiętałem, do czego byli zdolni i co wyczyniali z Polakami, [oprawcy sowieckiego N.K.W.D.] - od samego początku po wkroczenie do Wołkowyska.

Ojciec mój, Piotr Papiński, urodzony w 1900 r. w 17 roku życia ochotniczo zgłosił się do formującej się we Francji Polskiej Armii generała Józefa Hallera. W latach 1919/1920 bronił przed nawałnicą bolszewicką wschodnich rubieży Rzeczypospolitej, był dwukrotnie ranny, a za swoje bojowe czyny w walce z bolszewikami był dwukrotnie odznaczony Krzyżem Walecznych i innymi odznaczeniami.

Jako niezdolny do służby wojskowej z powodu odniesionych ran ojciec mój w 1923 r. został przeniesiony do rezerwy. Jako osadnik /hallerczyk/ osiedlił się początkowo we wsi Trachanowice woj. Grodno, gdzie wraz z mamą prowadził sklep. W roku 1927 przeniósł się z rodziną do Wołkowyska - Centrali, otrzymał pracę w miejscowej parowozowni P.K.P. i zamieszkaliśmy w kolejowym baraku przy ul. Szosowej nr 5.

W Wołkowysku była liczna organizacja kombatancka byłych hallerczyków, do której ojciec mój należał i w której brał aktywny udział, szczególnie był znany z kontaktów z miejscowym 3-cim Pułkiem Strzelców Konnych oraz z licznymi spotkań ze ~~sukolną~~ młodzieżą. Miejscem spotkań hallerczyków, gdzie prowadzili swoją organizacyjną pracę, była świetlica kolejowa oraz miejscowy Dom Katolicki.

Po napaści Niemiec faszystowskich na Polskę pomimo starań [lecz z faktu, że] był inwalidą wojennym ojca mego do wojska nie przyjęto, natomiast był organizatorem miejscowej obrony cywilnej, a przede wszystkim ochraniał obiekty P.K.P., Prochownię, Koszary wojskowe oraz brał udział w likwidowaniu sowieckich dywersantów.

Ojciec mój dokładnie wiedział, co go czeka ze strony bolszewików i na dwa dni przed wkroczeniem wojsk sowieckich z kilkoma kolegami - hallerczykami uciekł z Wołkowyska z zamiarem przekroczenia granicy polsko-rumuńskiej. O tym fakcie powiedziała mi moja mama już po wkroczeniu bolszewików do Wołkowyska, gdyż była przekonana, że ojcu ucieczka udała się.

Po kilku dniach od ucieczki żadnych wiadomości o ojcu nie mieliśmy. Wszyscy mieliśmy nadzieję, że wszystko ułoży się dobrze, że ojciec umknie bolszewikom, i że w krótkim czasie będziemy znowu razem. Jednocześnie do naszych myśli coraz bardziej wdzierał się strach i przerażenie - co będzie jeżeli bolszewicy schwytają ojca i co będzie z nami. Była jesień i zbliżała się zima, a pracy w domu, było bardzo dużo. Od prawie pięciu lat przy pomocy mamy braci - wujków, ojciec mój budował nam własny bardzo ładny dom, który mieścił się przy ul. Kolejowej Nr 3 i który przed wojną latem 1939 r. stał już gotowy do naszej przeprowadzki.

Faktycznie mieszkaliśmy w dwóch domach, nowy dom był już prawie wyposażony, a na całkowite przeniesienie się do nowego domu przeszkodziła wojna. Nas wszystkich czekało bardzo dużo pracy. Mieliśmy dwie krowy, kilka prosiąt, króliki, kury - trzeba było wszystkiego doglądać, no i przygotować się do zimy. Bardzo dużo pracy czekało nas przy wykopkach ziemniaków, gromadzeniu opału itp.

N.K.W.D., które rozmieściło się o 200 m od naszego baraku, przystąpiło natychmiast do aresztowań Polaków, wśród których rozpoznawałem hallerczyków i legionistów, znajomych ojca ze wspólnych spotkań organizacyjnych.



Przywożono ich po kilku samochodem /czarną budą/ pod siedzibę N.K.W.D., wprowadzano zakutych do pomieszczeń, a po kilku godzinach pod silną eskortą wyprowadzano z pomieszczeń i umieszczano w schronie - bunkrze przeciwlotniczym, który mieścił się o 100 m od naszego baraku i w czasie nalotów niemieckich samolotów, służył okolicznym mieszkańcom jako schron.

Konwojowanie aresztowanych przez enkawedzistów z budynku N.K.W.D. do schronu lub odwrotnie stale obserwowałem, gdyż było tam już kilku znajomych naszego ojca i bardzo się martwiłem o los mego ojca, o którym nic nie wiedzieliśmy.

24 września w niedzielę we wczesnych godzinach porannych przyszedł do nas Pan Sobolewski, emerytowany kolejarz, nasz sąsiad i bardzo dobry znajomy mego ojca, ze straszną dla nas wiadomością, [powiadomił mamę,] że kilkanaście minut temu widział, jak do budynku N.K.W.D. podjechała więźniarka, z której wyprowadzono zakutych w kajdany kilku mężczyzn, i wśród których zobaczył naszego ojca.

Mama i my wszyscy zaczęliśmy płakać, a Pan Sobolewski pocieszał nas, że napewno wszystko zostanie wyjaśnione i ojciec wróci do domu, [pomi-  
mo tego, że sam dobrze wiedział, że dla każdego Polaka którego dopadną bolszewicy nie ma powrotu na wolność. Aresztowanie naszego ojca przez bolszewików było napewno radością dla nich, ponieważ mogli teraz zemścić się na naszym ojcu za zasługi ojca, jakie miał w walce z bolszewizmem w obronie Polski.]

<sup>Gdy</sup> Po minięciu szoku, wybiegłem z domu i udałem się pod budynek N.K.W.D.; stojący wartownik nakazał mi natychmiastowe odejście od budynku, uczyniłem to tylko częściowo, schowałem się za żywopłotem i czekałem na wyjście ojca.

Czas dłużył się, a ojca nie było widać. Z ukrycia i w napięciu wpatrywałem się w drzwi i okna dawnego budynku dyrekcji P.K.P., który - teraz zmienił swój wygląd - okna były do połowy zamalowane na białe, we wszystkich oknach zostały wstawione żelazne kraty, a przed wejściem wisiała tablica ze złowieszczym napisem - N.K.W.D. - Oddział w Wołkowysku; i wewnątrz budynku od przeszło kilku godzin przebywał mój ojciec, z którym ja nie miałem prawa zobaczyć się.

Po kilkunastu godzinach oczekiwania, o zmierzchu ujrzałem mego ojca - wyszedł z budynku zakuty w kajdany w towarzystwie dwóch uzbrojonych enkawudzistów. Zapomniałem o wszystkim, nie wytrzymałem

podbiegłem do ojca, który na mój widok zwolnił krok, uśmiechnął się. Enkawudzista oderwał mnie od ojca, coś warknął w niezrozumiałym języku, kolbą karabinu pchnął ojca, którego szybko doprowadzili i zamknęli w schronie - bunkrze.

Schron, w którym zamknięto ojca, i w którym często chowałem się w czasie nalotów i bombardowaniem przed wkroczeniem wojsk sowieckich, był do połowy wkopany w ziemię, nie było okien i mógł pomieścić najwyżej dwadzieścia osób w pozycji siedzącej. Nie mogłem zrozumieć, jak w tym ciasnym schronie - bunkrze mogli przebywać i zmieścić się około 60 aresztowanych dorosłych mężczyzn, wśród których był mój ojciec. Przed wejściem do schronu postawiono drewnianą budkę, w której dzień i noc przebywali enkawodziści - wartownicy.

Wieczorem wróciłem do domu i wszystko opowiedziałem mamie, która tak jak my wszyscy wierzyliśmy, że napewno w krótkim czasie wszystko ułoży się dobrze i ojciec nasz wróci do domu. Nie wiedzieliśmy jak okrutni są bolszewicy.

Tego samego dnia t.j. 24 września wieczorem przyszli do naszego domu trzej enkawodziści, z których jeden był ubrany po cywilnemu i dobrze mówił po polsku. Po odczytaniu jakiegoś pisma, cywil oświadczył mamie, że całe nasze mieszkanie zostanie poddane rewizji i jednocześnie zażądał, ażeby mama dobrowolnie oddała wszystkie dokumenty ojca. Rewizja trwała bardzo długo w czasie której zabroniono nam opuszczać mieszkanie i wogóle zakazano rozmawiać. Rewizję przeprowadzili bardzo dokładnie - rozpruwali kołdry, poduszki, sienniki oraz obmacywali i opukiwali ściany, podłogi, a nawet rozbierali piec. Najbardziej zapamiętałem, jak brutalnie postąpili z błękitnym mundurem ojca - po przeszukaniu wszystkich kieszeni z widoczną wściekłością zaczęli odrywać kołnierz, rękawy i rozszarpywać na kawałki cały mundur. Podczas rewizji zabierali to, co dotyczyło naszego ojca, dokumenty, listy, odznaczenia wojskowe oraz dużą ilość fotografii, na których był ojciec sam lub w towarzystwie kolegów - hallerczyków. Przed opuszczeniem domu enkawudzista po cywilnemu powiedział mamie, że władza sowiecka surowo ukarze naszego ojca, ponieważ ojciec w latach 1919-1920 zwalczał władzę sowiecką, co potwierdza ten błękitny mundur oraz odznaczenia bojowe, jakie ojcu przyznano.



Obserwując [przeprowadzoną] rewizję oraz zabieranie przez enkawedzistów pamiątek po ojcu najbardziej szkoda mi było błękitnego munduru, z którym miałem tyle wspaniałych wspomnień z [lat mego wczesnego] dzieciństwa. Po raz pierwszy zapamiętałem ojca w mundurze hallerczyka, gdy prowadził mnie do pierwszej klasy. Szedłem obok ojca i byłem dumny, a koledzy zazdrościli mi, że mam tak zasłużonego ojca. W następnych latach zawsze w dniach różnych świąt narodowych ojciec ubierał swój mundur i wspólnie z kolegami - hallerczykami uroczysto świętował. Ojciec wiedział o moim przywiązaniu do tego munduru i pewnego dnia w obecności całej naszej rodziny oświadczył, że mundur swój przekazuje mi pod opiekę - troszczyłem się, <sup>nie</sup> ażeby zawsze mundur był wyczyszczony i wisiał na swoim miejscu w szafie. Obowiązki swoje [związane z opieką nad mundurem] wykonywałem z wielką radością i dumą. Mundur ojca wraz z orderami traktowałem jak świętą rzecz.

Obserwując jak enkawedziści rozrywali, deptali i poniewierali mundur ojca byłem gotów robić wszystko, ażeby osłonić świętą dla mnie rzecz, lecz byłem mały i bezsilny, a kiedy [oprawcy] opuścili nasz dom zabierając wszystko, co było związane z ojcem, bardzo długo płakałem.

W Wołkowysku ojca więziono do końca października 1939 r. a ponieważ siedziba N.K.W.D. oraz schron - bunkier, w którym ojca trzymano, mieścił się bardzo blisko naszego domu, miałem możliwość obserwowania, jak enkawedziści postępowali z Polakami, których więziono w schronie - bunkrze. Rano w godzinach 6-8 wyprowadzano do wychodka, który mieścił się około 50 m od schronu. Wyprowadzano po dwóch aresztowanych, skutych razem, <sup>przez</sup> prowadziło trzech wartowników - jeden z pistoletem w ręku szedł z przodu, a dwóch z tyłu za aresztowanymi z długimi karabinami w ręku, których bagnety prawie dotykały pleców aresztowanych.)

Przed wychodkiem zatrzymywano i rozkuwano z kajdanek, jeden z wartowników sprawdzał czy wychodek wewnątrz jest pusty, a następnie aresztowani wchodziłi do pomieszczeń wychodka. W tym czasie wartownicy ustawiali się z różnych stron wychodka z bronią skierowaną w stronę wychodka. Na załatwienie swoich fizjologicznych potrzeb aresztowani mieli bardzo mało czasu - stukaniem kolbą karabinu w ściany [wychodka] ponaglali aresztowanych. Po wyjściu aresztowanych z wychodka zakładano ponownie im kajdanki i przyprowadzano do schronu.

W tym czasie nikt z mieszkańców pobliskich domów nie miał prawa zbliżyć się do wychodka lub nawet przechodzić w pobliżu.

Około południa przynoszono [aresztowanym] w zamkniętych pojemnikach - garnkach posiłek oraz kilka bochenków chleba. Aresztowani, którzy znajdowali się w schronie - bunkrze, otrzymywali posiłek raz na dobę. W godzinach wieczornych aresztowanych skutych po dwóch w kajdanki, ze schronu doprowadzano do siedziby N.K.W.D. - napewno na przesłuchanie.

[Ja wraz z kolegą, Władkiem Miłozsem, którego ojciec razem z moim ojcem był zamknięty w schronie, kombinowaliśmy, w jaki sposób przekazać ojcu - cokolwiek, a przede wszystkim coś do zjedzenia i papierosy, gdyż w sposób legalny nie aresztowanym nie można było przekazywać. Po kilku dniach obserwacji, wspólnie zdecydowaliśmy spróbować podać ojcu jedzenie lub papierosy w trakcie wyprowadzania aresztowanych do wychodka. Władek z oddali obserwował wejście do schronu, ja natomiast schowałem się w żywopłocie obok [wychodka]. Gdy w drzwiach schronu ukazał się mój lub Władka ojciec, wówczas na sygnał Władka /gwizdem/ wskakiwałem do wychodka i na belce pod sufitem /w obu kabinach/ kładłem paczkę z jedzeniem lub papierosami i ponownie chowałem się w zaroślach żywopłotu. Kiedy wychodząc z wychodka mój lub Władka ojciec lub też inny aresztowany byli uśmiechnięci lub połykali ostatni kęs jedzenia, byłem całkowicie pewien, że zauważyli i zabrali schowaną na belce [w wychodku] niedużą paczkę. Położenia paczki w obu kabinach wychodka dokonywałem błyskawicznie, a siedząc w zaroślach żywopłotu w odległości około 20 m od wychodka widziałem twarz ojca i byłem przekonany, że On mnie również widzi - na nasze szczęście nie widzieli mnie wartownicy.

W ten [bardzo] ryzykowny sposób wraz z Władkiem Miłozsem podawaliśmy naszym ojcom oraz innym więźniom - jedzenie, papierosy, a nawet ciepłe skarpety, ciepły szalik oraz ciepłą bieliznę.

Ojca mego prawie każdego wieczoru doprowadzano na przesłuchanie do pobliskiej siedziby N.K.W.D. Pamiętam jeden raz za zgodą mamy do wczesnego ranka z ukrycia pilnowałem i czekałem na powrót ojca z przesłuchania - zauważyłem, że ojciec miał zakrwawioną białą szmatę /napewno chusteczkę/ owiniętą palce i dłonie obu rąk i w czasie przejścia z siedziby N.K.W.D. do schronu - bunkra był pod ramię podtrzymywany przez współwięźnia i przez kilka dni nie był wyprowadzany do wychodka.



Barbarzyńskie postępowanie oprawców z N.K.W.D. w stosunku do mego ojca i innych więźniów trzymany w schronie, a szczególnie w trakcie przesłuchiwania ich, było bardzo widoczne - z powodu pobicia przez kilka dni nie wychodzili do wychodka, mieli obandażowane dłonie, głowę i bardzo często widziałem, jak z powodu wyciężenia i pobicia nie byli w stanie o własnych siłach chodzić.

Jednego dnia przy kościele października 1939 r., kiedy mama wraz ze starszą siostrą kopały ziemniaki, a ja z młodszym rodzeństwem byłem w domu, przyszedł do nas cywil - enkawedzista, który przeprowadzał w naszym domu rewizję w dniu aresztowania ojca. Zwracając się do mnie powiedział, że mogę zobaczyć ojca, jeżeli udam się z nim do siedziby N.K.W.D. Byłem tą propozycją zaskoczony, zaciekawiony i przestraszony, lecz z chęci zobaczenia ojca udałem się z enkawedzistą, który wprowadził mnie do pokoju, w którym za biurkiem siedział umundurowany /napewno wysoką rangą/ enkawedzista. Cywil kazał mi usiąść, zaznaczając, że jeżeli powiem im nazwiska dwóch osób, które są na pokazanym mi zdjęciu, [które zostało] zabrane nam w czasie rewizji oraz jak często ojciec mój spotykał się z tymi mężczyznami, to zaraz przyprowadzę tutaj mego ojca. Natychmiast zorientowałem się o co im chodzi i oświadczyłem, że nie znam nazwisk tych osób i wogóle nic nie wiem.

Po początkowym spokojnym tonie rozmowy i chęci poczęstowania mnie cukierkami, których nie raczyłem, cywil enkawedzista zaczął krzyczeć na mnie i straszyć, że zamknie mnie do więzienia.

Po pewnym czasie do pokoju wprowadzono mego ojca - był zarośnięty, chudy i w oczach miał łzy. Nic do ojca nie mogłem powiedzieć, gdyż natychmiast ojca wyprowadzano, a ja zacząłem płakać. Po pewnym czasie ponownie cywil - enkawedzista zwrócił się do mnie ze zdjęciami, ja z opartą głową o biurko płakałem i nic nie mówiłem. Cywil zamienił po rosyjsku kilka słów z umundurowanym enkawedzistą i kazał mnie iść za nim. Zaprowadził mnie do innego małego pokoju, w którym jedyne małe okienko było zakratowane i stał taboret, sam wyszedł zamykając drzwi na klucz. Nikt do mnie więcej nie przychodził i po długim pobycie w tym pokoiku, gdzie więcej czasu przepłakałem, przyszedł ten sam cywil - enkawedzista, który kazał mnie iść do domu, uciekłem nie oglądając się za siebie.

Przez dzień lub dwa ze strachu nie podchodziłem pod schron - bunkier [i nie wyglądałem ojca], lecz po spotkaniu się z Władkiem

Miłoszem od nowa przystąpiliśmy do swojego stałego zajęcia - przy schronie i przy wychodku, nadal wyczekiwaliśmy naszych ojców. Dla ojca Władka jeszcze kilka razy podaliśmy papierosy lub chleb natomiast ja swego ojca już nigdy nie zobaczyłem. Krótkie spotkanie się z ojcem przed kilku dni w siedzibie N.K.W.D. było ostatnim widzeniem ojca, a Jego widok oraz łzy jakie ująłem w Jego oczach pozostaną w pamięci do końca mego życia.

Jesień do Wołkowyska przyszła bardzo szybko, zrobiło się zimno i szybko upływał czas w naszym już bez ojca domu. Mama przez prawie cały listopad 1939 r. czuła się bardzo źle. Przy końcu listopada urodziła nam siostrzyczkę - Tereskę. Dzięki skromnej pomocy, jaką otrzymywaliśmy od rodziny mamy - naszych Babci i Dziadka oraz Wujków i Ciotek, jakoś wiązaliśmy koniec z końcem, lecz żyło nam się coraz gorzej. Nie wiedzieliśmy, jaki los spotka naszą liczną rodzinę za kilka tygodni.

## ROZDZIAŁ II.

Na początku lutego 1940 r. stało się to, czego najbardziej obawialiśmy się. O północy wtargnęli do naszego mieszkania dwóch enkawedzistów w mundurach oraz dobrze nam znany cywil - enkawedzista. Kazali mamie zbudzić wszystkich w domu i ustawić się pod ścianą, co praktycznie nie było możliwe, gdyż mama była chora i opiekowała się 3-miesięczną Danusią. Zerwane ze snu, przestraszone i płaczące młodsze rodzeństwo nie wzruszało barbarzyńców.

Cywil odczytał z listy wszystkich stanowiących naszą rodzinę - łącznie 8 osób i odczytał po polsku jakieś pismo, z którego zrozumiałem, że wszyscy jesteśmy wrogami władzy sowieckiej i zostaniemy przesiedleni do innego rejonu w głąb państwa sowieckiego, gdzie zapewnią nas, że spotkamy się z naszym ojcem i ku naszemu zdziwieniu wręczył mamie bardzo krótki list ojca pisany do nas z miejscowości Ostanków. Dano nam 30 minut czasu na spakowanie niezbędnych rzeczy.

Pomimo listu od ojca, mama widocznie przeczuwała, co się kryje za obłudnymi obietnicami enkawedzistów - straciła przytomność i upadła na podłogę, a my wszyscy prosiliśmy o pozostawienie nas w naszym domu. - [rozgrywały się dantejskie sceny trudne do opisania.]

Ja korzystając z ogólnego zamieszania, lamentu i płaczu młodszego



rodzeństwa, zbliżyłem się do drzwi z zamiarem ucieczki i przedostania się na wieś do Dziadków. Gdy wyskoczyłem z mieszkania, natychmiast wpadłem prosto w łapy enkawedzisty, który stał z karabinem na zewnątrz przed wejściem do mieszkania. Moja desperacka ucieczka nie udała się, od tego momentu byłem szczególnie pilnowany. Wszystkie nasze błagania i lamenty nie poskutkowały, omdlałą mamę enkawedziści wywlekli z domu i załadowali na skrzynię ciężarowego samochodu, a za mamą poszliśmy my wszyscy. Enkawedziści powrzucaли na samochód część naszych rzeczy, pościel itp., a sąsiedzi, którzy obserwowali naszą tragedię, dostarczyli nam co mogli do jedzenia i w ostatniej chwili za zgodą enkawedzistów załadowali na samochód kuferek, w którym znajdowali się różne wartościowe przedmioty, dzięki którym już na zesłaniu często ratowaliśmy się przed śmiercią głodową. Pod uzbrojoną eskortą, przy bardzo silnym mrozie, zawieziono nas na rampę kolejową, gdzie stały przygotowane czerwone bydłące wagony. Do jednego z tych wagonów załadowano wszystkich nas wraz z naszymi rzeczami. Drzwi wagonu szybko zasunięto i zrobiło się bardzo ciemno, wszyscy skupiliśmy się obok naszej mamy i zaczęliśmy płakać.

Sowieccy okupanci i barbarzyńcy uznali całą naszą rodzinę t.j. 35-letnią schorowaną mamę, 15-letnią Jankę, 11-letniego mnie, 8-letnią Jadzię, 5-letniego Staszka, 3-letniego Kazika, 1,5-roczną Danusię i 3-miesięczną Tereskę - jako niebezpiecznych dla imperium socywieckiego, [pozbawili nas wolności i zabrali nam naszego ojca.]

Wagon, do którego nas załadowano, był wewnątrz wyjątkowo brudny, nawet prycze nie było rozłożone - deski leżały na podłodze, a przede wszystkim było bardzo ciemno. Po pewnym czasie drzwi wagonu zostały otwarte i zaczęto ładować nowe rodziny Polaków dowożonych przez enkawedzistów. Do naszego wagonu załadowano około 80 osób.

[Rudy] Po minięciu szoku, każda z rodzin zaczęła układać z desek prycze, uprzątać brud i przygotowywać sobie miejsce - legowisko.

Ja wraz z siostrą Janką i mamą rozłożyliśmy pościel na najwyższej pryczy, Licząc, że będzie tam cieplej dla młodszego rodzeństwa i będzie można cokolwiek obserwować przez zakratowane i zabite deskami okno. Nocą niespodziewanie doczepiono parowóz z początku powoli potem coraz szybciej wieziono nas w nieznaną przyszłość.

Leżąc skulony na pryczy w myśli żegnałem się z gołębiami, królikami, z psem Reksem oraz moim miastem, gdzie spędziłem wesoło i przyjemnie dotychczasowe swoje dzieciństwo.

Po kilku dniach jazdy z powodu ciągłego moczenia się młodszego rodzeństwa i zalewania osób, które spali na pryczy pod nami, musieliśmy się przeprowadzić na najniższą pryczę, co mnie bardzo zmartwiło, ponieważ nie miałem możliwości obserwowania krajobrazu podczas jazdy.

Wieziono nas prawie 6 tygodni, przeważnie nocą, a w dzień transport często zatrzymywał się w szczerym polu lub na małych stacjach. W czasie jazdy dni i noce były do siebie podobne, w dzień dorośli prowadzili ze sobą rozmowy, przekonując się nawzajem co do przyszłego naszego losu, jedni przewidywali bardzo ponurą i tragiczną naszą przyszłość, drudzy wierzyli w humanitaryzm bolszewików i zainteresowanie się naszym losem Anglii i Stanów Zjednoczonych. Pociąg jechał do przodu, lecz trudno było zorientować się, gdzie nas wiozą, gdy w czasie jazdy, szczególnie rano gdy słońce świeciło z kierunku naszej jazdy, wszyscy byli zmartwieni, ponieważ wieziono nas na wschód, z kolei, gdy poranne słońce świeciło z tyłu do kierunku jazdy, ogarniała nas nadzieja, a nawet ukryta radość, że bolszewicy wiozą nas do naszych domów. Kiedy mijaliśmy większe i znane miasta, a szczególnie kiedy przejechaliśmy długim mostem szeroką Wołgą, wszystkim przysła nadzieja o opamiętaniu się i dobroduszości bolszewików. Z każdym dniem coraz bardziej oddalaliśmy się od naszej Ojczyzny Polski.

Warunki naszej jazdy były bardzo złe, przede wszystkim w wagonie było bardzo zimno, brak było wody i byliśmy głodni. Moje młodsze rodzeństwo, t.j. małeńka Tereska oraz Danusia i Kazik, z powodu zimna ciągle moczyli się, do tego stopnia, że mama nie miała w co zawijać Tereskę. Wszystkie pieluchy zmoczone natychmiast sztywniały na skutek mrozu. Do moich obowiązków należało suszenie mokrych pieluch i ubrań rodzeństwa. Kładłem się gołym ciałem na mokrą pieluchę i długo chuchałem i grzałem, aż pielucha nadawała się do przewinięcia Danusi. Ciepłotą własnego ciała walczyłem z mrozem, którego szron pokrywał naszą wilgotną pościel i nasze ubrania. Ziąb w wagonie groził zamrożeniem na śmierć i ażeby uchronić młodsze rodzeństwo, mama prawie nigdy nie spała, cały czas czuwała i wsłuchiwała się czy Tereska i Danusia oddychają. Przez cały czas jazdy otrzymywaliśmy w bardzo małej ilości wody



pitnej. Raz lub dwa razy w tygodniu (co czwarty dzień) otrzymywaliśmy po pół litra na osobę gorącej wody - „kipietok”, którą zanim wypijaliśmy - wykorzystywaliśmy do ogrzewania rąk - kubek z gorącą wodą trzymano w dłoniach, aż woda była zimna. Bardzo rzadko otrzymywaliśmy gorącą strawę w postaci rzadkiej zupy i kromki chleba. Kiedy brak było wody do picia, o którą ciągle prosiło młodsze rodzeństwo - łyżką zeszkrobywałem szron z metalowych części wagonu (śruby, okucia itp.), chuchałem aż się roztopi, a mama sprawiedliwie dzieliła każdemu po jednym łyku. Potrzeby fizjologiczne załatwialiśmy przez otwór w podłodze wagonu. Otwór był jeden, a w wagonie było stłoczonych 80 osób, przeważnie rano ustawiała się kolejka a kto nie mógł wytrzymać rznął do portek lub załatwiał się do wiadra albo wprost na podłogę.

Po minięciu Gór Uralskich w wagonie zrobiło się jeszcze chłodniej, zamarzała woda, przymarzała do desek przychyty pościel, a dorośli nie kładki się spać w obawie przed zamarznięciem, dzień i noc czuwali nad swoimi dziećmi i osobami starszymi. —→  
W czasie postoju pociągu często stukaliśmy czym się dało w drzwi wagonu, ażeby zwrócić uwagę eskortie na naszą tragiczną sytuację z powodu zimna. Po kilku dniach dostarczono do naszego wagonu mały żelazny piecyk (ciepłuszka), w którym palono dzień i noc, lecz skutek ogrzania wagonu był słaby - piecyk zawsze był otoczony ze wszystkich stron przez lokatorów wagonu, z przodu grzało, a z tyłu na plecach lub odwrotnie osiadał śnieżny szron.

W takich warunkach dojechaliśmy do [dużego syberyjskiego miasta] Świerdłowsk, gdzie po raz pierwszy otwarto na dłuższy czas drzwi wagonu, dano nam do syta najeść się zupy, kaszy i chleba, a nawet dano po kawałku cukru. W Świerdłowsku trzymano nasz transport /esza-  
-żen/ przez kilka dni, kilka wagonów wraz z zesłańcami odczepiono, a pozostałe wagony i nasz skierowano dalej, lecz na południe. Pociąg prawie na każdej stacji zatrzymywał się, otwierano drzwi wagonu, a miejscowi przedstawiciele władzy sowieckiej wybierali przeważnie osoby dorosłe lub rodziny bez małych dzieci, spisywali i oświadczaali, że „wasza puć zakończona, astajoćieś zdzieś”, prawie nikt z „kupców” nie wyrażał chęci zatrzymania rodzin z małymi dziećmi lub osób starszych. Często dochodziło do sprzeczek pomiędzy naszymi konwojentami a osobami /kupcami/, którzy dobierali sobie zesłańców. —→

Jedni "kupcy" wybierali tylko rodziny bez małych dzieci i osoby zdrowe z wyglądu, natomiast konwojenci wrzeszczeli, co mają robić ze starcami i z rodzinami taka jak nasza - same małe dzieci. Wszystko to wyglądało jak handel niewolnikami w sowieckim wydaniu.

Kolejnym większym miastem, gdzie stał przez kilka dni nasz bardzo okrojony pociąg /cwałon/, był Pietropawłowsk. Faktycznie już nas nikt specjalnie nie pilnował, a w poszczególnych wagonach pozostało po dwie lub trzy rodziny; w naszym wagonie pozostała tylko nasza 8-osobowa rodzina oraz staruszka z kilkuletnią wnuczką. W czasie przeszło 6-tygodniowej jazdy w naszym wagonie zmarło trzy osoby, starszy Pan, który nigdy nie spał i zmarł na siedząco - całą drogę siedział na małym stołeczku, aż upadł martwy na podłogę oraz dwoje małych dzieci, na skutek przeziębienia i wyczerpania.

Warunki, jakie musieliśmy znosić podczas transportowania nas, były straszne i nieludzkie - trudno ich opisać.

Cała nasza liczna rodzina dzięki opaczności Pana Boga przetrzymała wszystkie trudy i cierpienia, jakich doznaliśmy podczas długotrwałej jazdy, a końcowym etapem, dokąd nas zawieziono, było małe miasteczko i stacja kolejowa (drewniany barak) o nazwie Kijały. Po ostatnim noclegu w wagonie, rano ujrzałem dziwny, którego dotąd nigdy nie widziałem, środek lokomocji; obok stacji stały zaprzęgnięte w jarzmo i sanie dwa chude i wielkie woły, a obok tego zaprzęgu stał skośnooki o kwadratowej twarzy człowiek, z którym dogadała się nasza towarzyszka niedoli, babcia, oświadczając, że tym środkiem lokomocji zostaniemy zawiezieni do miejsca naszej zsyłki. Na olbrzymie sanie załadowaliśmy nasz skromny dobytek, a mama wraz z babcią otulając, w co się tylko dało, załadowały na sanie całą dzieciarnię. W czasie jazdy mama, Janka i ja szliśmy pieszo za saniami sprawdzając od czasu, czy nikt z dzieci nie zamarł.

W czasie kilkogodzinnej jazdy byliśmy przerażeni i zdziwieni wyjątkowym krajobrazem, jaki nas otaczał - nie było żadnych drzew ani pagórków, tylko bezkresna równina i skrzący się śnieg. Woły /byki/, które wiozły nas w nieznane, szły bardzo powoli, a siedzący z przodu na saniach skośnooki człowiek od czasu do czasu wykrzykiwał niezrozumiałe słowa (cob - cobe) i tłumaczył mamie i babci, że na miejscu, gdzie nas zawiezie, nie ma lasu, rzeki ani jezior - jest tylko bezkresny step i Sownoz / Oddzielnie/, gdzie bardzo często zarówno zimą jak i latem dokucza ludziom "buran" - silna za-



wierucha.

Na miejsce naszej zsyłki dotarliśmy, kiedy było już prawie ciemno, <sup>wolny</sup> byki zatrzymały się obok małego domku - baraku, a skośnoki nasz przewoźnik kazał nam się wyładowywać do tego domku. Byliśmy wszyscy bardzo przemarżnięci, szybko wnieśliśmy swoje rzeczy do tego domku - baraku, gdzie była tylko jedna izba,  ~~pomiesz-~~  ~~czenie~~, a na podłodze na słomie spali Polacy, których dowieziono tutaj wcześniej. Zesłano i osiedlono nas w miejscowości: Siewierno-Kazachstańska Obłaść, Atemoleński Rejon, Stacja Kijały, Sawchoz - Puziołok Czagły, Oddzielenie Nr 1.

### ROZDZIAŁ III.

Na zajutrz rano dowiedzieliśmy się, że umieszczono nas w miejscowym klubie (krasnym ugałkie), który był zbudowany z łoży obklepionej z zewnątrz i wewnątrz gliną, a zamiast podłogi było zwykłe klepisko; było tam bardzo zimno - stojący pośrodku dziwny piec opalany był słomą. Razem z nami do tego sowchozu -  ~~pasiołka~~ trafiło sześć Polskich rodzin. Nasza 8-osobowa rodzina - Arodziejczykowie - 8 osób, Noskowiczowie - 5 osób, Jeszczenia (babcia z 6-letnią wnuczką) oraz dwie rodziny, których nazwisk zapomniałem. ?

Ja najbardziej ucieszyłem się, że razem ze mną było czterech chłopaków w moim wieku - Olek i Lonek Awdziejczykowie oraz Stefan i Jórek Noskowiczowie, z którymi natychmiast zaprzyjaźniłem się.

Podobnie bardzo szybko zaprzyjaźniły się ze sobą wszystkie polskie rodziny, [których barbarzyńcy sowieccy siłą wyrwali z własnych domów, odłączyli od mężów i ojców, przerwali normalne życie i zesłali na nieludzką ziemię.]

Po dwóch lub trzech dniach naszego pobytu - zamieszkiwania, przyszło trzech przedstawicieli miejscowej władzy w towarzystwie osoby wojskowej /enkawedzisty/ i rozpoczęli spisywać każdą rodzinę - nazwisko, ile osób, wiek itp. W czasie tego spisywania często dochodziło do sprzeczek - wmawiano nam, że nasza narodowość jest białoruska lub ukraińska; w rezultacie nasza mama podobnie jak i inne dorosłe osoby odmawiali podpisywania kwestionariuszy - wszyscy domagali się wpisywania narodowości polskiej, co bardzo złościło szczególnie enkawedzisty. Na zakończenie przewodniczący sowchozu -  ~~pasiołka~~ wygłosił do nas pouczającą mowę w której powiedział, że

Awdziejczyk  
(zob. s. 17)

wszyscy my, których tutaj zesłano, jesteśmy wrogami władzy sowieckiej, że już nie będzie pańskiej "polszy", a będąc tutaj na zesłaniu mamy możliwość uczciwą i wydajną pracą wymazać swoje winy, jakich dopuściliśmy się wobec władzy sowieckiej i że władza sowiecka jest surowa, lecz sprawiedliwa. Na zakończenie swego przemówienia powiedział, że nas, zesłańców, obowiązuje sowiecka zasada: "kto nie robotajet tot nie kuszajet" oraz że: "nie umiesz nauczym, nie chcesz zastawim". Osobiście nie mogłem zrozumieć, jakim ja 11-letni chłopiec jest wrogiem władzy sowieckiej. →  
Podobnie, ponure wrażenie wywarło przemówienie przedstawiciela miejscowej władzy na wszystkich zesłańców - dorosłych i dzieci.

Sowchoz - pasiołek, gdzie nas zesłano, składał się z trzech dużych baraków, gdzie mieszkali w jednej małej izdebce na klepisku /bez podłogi/ miejscowi robotnicy oraz z dwóch budynków gdzie mieszkali /po dwie rodziny w jednym budynku/ rodziny miejscowej władzy, a dookoła tych baraków - budynków znajdowały się ziemianki, w których mieszkali tubylcy - kazachowie oraz rodziny, które nie otrzymały miejsca w barakach.

W środkowej części sowchozu - pasiołka znajdowała się stołówka, klub /krasnyj ugulok/ oraz kantora - siedziba miejscowej władzy i sklep /karak/. Niepodał baraków mieszkalnych stały dwa drewniane "ziernochranilszcza" - przechowalnie zboża oraz cztery długie i niskie szopy, gdzie zimowało bydło i owce. →

Były też warsztaty, gdzie remontowano maszyny rolnicze, dwie studnie, w których była woda na wóół z naftą oraz "bania" - łaźnia, gdzie toczono bezskuteczny bój z wszami. Na środku placu obok kantoru na słupie była zawieszona szyna, a bicie w tę szynę rano o godz. 5-ej oznaczało rozpoczęcie pracy i o godz. 20,00 koniec pracy /pół godziny przeznaczano na posiłek obiadowy/.

Nam, zesłańcom, nie dano "próżnować", po kilku dniach każdy dorosły i mały otrzymywał przydział do pracy, nasza mama oraz inne kobiety i dorosłe dziewczęta - otrzymały obowiązek pracy przy oporządzeniu bydła, a ja, moi rówieśnicy i inne młodsze dzieci zajmowali się odśnieżaniem, przerzucaniem zboża lub innymi pracami. Od samego początku brakowało nam jedzenia; chleba dawano bardzo mało, a zupa wydawana w stołówce faktycznie nie nadawała się do jedzenia /zmarznięte ziemniaki, głowy od śledzi lub inne paskudztwo/, o mleku,



maśle, cukrze można było tylko pomarzyć. Najbardziej brakowało tych artykułów żywnościowych mojemu młodszemu rodzeństwu - bardzo małej Teresce, Danusi, Kazikowi i Staszкови.

Mama robiła, co mogła, ażeby zdobyć jedzenie - z miejscowymi mieszkańcami, a przede wszystkim z Kazachami i pobliskimi kołchoźnikami prowadziła handel wymienny, za chustkę na głowę otrzymywała dwa litry mleka lub kilka jaj, a za pończochy lub sukienkę, wiadro ziemniaków lub dwa bochenki chleba. W tak prowadzonym handlu niewiadomo było, kto tracił, a kto zyskiwał, my odczuwaliśmy stały ubytek tak bardzo potrzebnych nam rzeczy, a kuferek z lepszymi rzeczami, które mogliśmy wymienić na żywność, co raz bardziej opróżniał się, choć był to początek naszej zsyłki.

Wraz z nastaniem wiosny 1940 r. Przewodniczący Sowchozu nakazał wszystkim polskim rodzinom opróżnić miejsce naszego wspólnego zamieszkania /krasnog ugołka/, poradził nam szukać mieszkania we własnym zakresie i na własny koszt. Wszyscy razem zastanawialiśmy się, jak zdobyć jakikolwiek kąt, gdzie można byłoby zamieszkać, a ponieważ zawarliśmy znajomość z Kazachami, którzy byli nam najbardziej życzliwi, mama odkupiła od Kazacha za kilim i damskie pantofle całkowicie rozwaloną ziemiankę, która ażeby zamieszkać, wymagała budowy od podstaw. Ziemiankę swoją budowaliśmy wszyscy przez prawie 6 miesięcy. Ja z siostrą Janką kopaliśmy darninę, a mama przy odpłatnej pomocy Kazacha o nazwisku Żentucha układała z darniny ściany. Ziemiankę swoją budowaliśmy po pracy /raniućko lub wieczorem/ i bez pomocy Kazachów nie byliśmy w stanie wybudować jej. Najtrudniej było zdobyć drewno na pokrycie dachu, na drzwi i na okno. Kiedy mama zwróciła się z prośbą o drewno do Przewodniczącego Sowchozu (nazywał się Jaroszenko), obiecał, że przydzieli drewno oraz gotowe drzwi i okno, lecz pod warunkiem, że mama wyżeknie się polskiego pochodzenia. Mama odrzuciła zbrodniczą propozycję, drzwi zbudowaliśmy (spletliśmy z łoży), a okno bez szkła kupiła od Kazacha. Z wielkim trudem i dużym kosztem zbudowaliśmy własną ziemiankę - większa część znajdowała się w ziemi, jedna bardzo niska izba, zamiast podłogi klepisko, wewnątrz ściany, sufit i klepisko otynkowane - wysmarowane były gliną rozrobioną z łajnem krowim, a na środku izby stał gliniany piec. Wszyscy spaliśmy na sianie rozłożonym na klepisku. Byliśmy szczęśliwi, że z wielkim trudem zbudowaliśmy własny dom - nową ziemiankę. Janka starała się, ażeby był on w miarę przy-

tulny - często glancowała ściany i klepisko roztworem z krowiego łajna i gliny.

*Jurka czy Jozka?*  
*20.5.17*

Po zniknięciu śniegu mnie, Olka, Lonka, Stefana i Jórka wraz z dziewczętami wyznaczono do wypalania słomy, ścierniska na polu, które miało być zaorane pod wiosenne zasiewy. Była to praca wyjątkowo ciężka, ponieważ przez cały dzień przebywaliśmy w dymie, piekły oczy, przypalaliśmy swoją odzież, a przede wszystkim byliśmy bardzo głodni i męczyło nas pragnienie - woda do picia była zmieszana z naftą, i po wypiciu jej mieliśmy wymioty i biegunkę. Do naszych domów wracaliśmy bardzo zmęczeni i głodni. Na drugi dzień czekała nas taka sama praca, aż do całkowitego wypalenia słomy i ścierniska na wszystkich polach.

*5.17*

Kiedy zboże na polach <sup>W</sup>zeszło, pojawiła się wyjątkowa plaga mysz, nora była przy norze, a całe pole zaznaczone było ścieżkami, po których bez żadnej obawy latały duże i małe, czarne polne myszy. Czekaliśmy na wszystkich polskich dzieci nowa praca. —————>

Przed rozpoczęciem tej pracy brygadzysta w krótkich słowach wyjaśnił nam, jak należy wykonywać tę pracę, którą nazwał jako "odtrawka" - trucie mysz. Każdemu przydzielono małe wiaderko z trującą cieczą oraz zaostrzony kij i szmaty. Nasza praca sprowadzała się do tego, że szmatę nawiniętą na kij należało zamoczyć w truciźnie i umieścić w norze myszy. Każdemu wyznaczono pas pola o szerokości 3 metrów, na którym trzeba było truć myszy. Brygadzysta, który udzielił wskazówek, zaznaczył, że wiaderko z trucizną należy trzymać i nieść tak, ażeby nie wdychać oparów trucizny. Praktycznie było to niemożliwe, i po krótkim czasie większość dzieci po wchłonięciu oparów trucizny padała na ziemię, nie mogąc złapać oddechu. —————>

Brygadzysta nic z tego specjalnie nie robił i w kółko powtarzał: "niczewo, niczewo - bolsze woz <sup>nie</sup>olucha, adachniasz i eta zadyszka prajdziot". Zwalone z nóg trucizną małe dziecko po pewnym czasie wstawało i nadal zmuszane było do wykonywania niebezpiecznej dla życia pracy. Ja po pewnym czasie doszedłem do wniosku, że najlepiej nie moczyć szmaty w truciźnie, a do mysiej nory wkładać suchą szmatę, podobnie postępowali pozostałe dzieci, kiedy w pobliżu nie było brygadzisty. Praca przy truciźnie była wyjątkowo niebezpieczna dla młodego organizmu, lecz my, polskie dzieci, zmuszani byliśmy do jej wykonywania.



5176  
Myszy, których było strasznie dużo na zasianym polu, specjalnie nie obawiali się "utrątki", więcej od trucizny, do której byli przyzwyczajone, bały się Jastrzębi - myszołowów - jak haraga spadających z nieba na upatrzoną mysz. My, którzy szliśmy po polu z trucizną, bardzo często dusząc się z braku powietrza, zazdrościliśmy tym Jastrzębiom - chcieliśmy być na ich miejscu.

Kiedy zboże <sup>u</sup>zeszło i było dość wysokie, wraz z nim bardzo szybko rosły różne chwasty i po pewnym czasie na polu zasianym zbożem więcej niż łożyg zboża było chwastów - szczególnie ostu i piołunu. Do plewienia /pierepołki/, podobnie jak do trucia mysz zapędzono polskie dzieci, do pracy musieli iść wszyscy, nawet 6-letnie dzieci. Ustawiono obok siebie w odległości 3-4 metrów, pokazano, jakie chwasty należy wyrywać, i rozpoczęło się zmaganie małych dzieci z krzakami ostu i piołunu. Brygadzysta wyznaczył każdemu szerokie pola, jakie należy wyplewić, zaznaczając, że wodę i zupę otrzymamy dopiero po wyplewieniu wyznaczonego pola. Po tak ciężkiej pracy każdy miał pozdzieraną skórę na dłoniach, kolce ostu sterczały na <sup>nie</sup>ciele rąk i nóg, a po dojściu /wyplewieniu wyznaczonego odcinka pola/ do miejsca, gdzie znajdowała się woda i zupa, ze zmęczenia padaliśmy z nóg, nie mając sił na zjedzenie zupy.

Pracowaliśmy od wschodu do zachodu słońca, lecz pożytku z naszej pracy dużego nie było - po kilku dniach chwasty odrastały ponownie. Za tak ciężką pracę nie otrzymywaliśmy żadnego wynagrodzenia, jedynie 200 gram <sup>ów</sup> czarnego chleba i raz dziennie kubek zupy.

Nasza mama, podobnie jak i inne kobiety i starsze polskie dziewczęta, musiały wykonywać szczególnie ciężkie prace na równi z miejscowymi mężczyznami - dźwigały worki ze zbożem, sadyliły ziemniaki itp., a przydział chleba w ilości 300 gram otrzymywały dopiero po wykonaniu wyznaczonej normy i po przyjęciu wykonanej pracy przez brygadzystę.

W miejscowości, gdzie nas zesłano, lato było bardzo krótkie, lecz wyjątkowo upalne. Szczególnie ciężko musieliśmy pracować w czasie sianokosów i przy żniwach. Ja, wówczas już 12-letni chłopiec, wraz z moimi kolegami i rówieśnikami - Olkiem i Lonkiem <sup>u</sup>Awaziejczykami oraz Stefanem i Jorkiem Noskowiczami miałem obowiązek pracować na równi z dorosłymi. W czasie sianokosów grabiliśmy, zwoziliśmy i układaliśmy w sterty siano, a podczas żniw zwoziliśmy z pola na klepisko ziarno - pszenicę.

Do dzisiaj pamiętam moje pierwsze spotkanie i "zapoznanie się" z wołem /bykiem/, które stanowiły w Sowchozie prawie jedyną siłę pociągową. Pewnego dnia brygadzysta polecił mi zaprzęgnąć woły w drabiniasty wóz i wozić siano, dał sznurek - powróz i kazał złapać dwa pasące się woły. Kiedy zbliżyłem się do jednego woła - podniósł głowę i wzajemnie patrzyliśmy sobie w oczy, wół był wysoki, chudy i miał duże rogi, patrzył mnie w oczy i jakby mówił: "podejdź bliżej, ty smarkaczu, a ja ci pokażę, co wół potrafi"; krążyłem dookoła woła byka i nie miałem odwagi schwycić go za rogi. Wszystko postawiłem na jedną kartę, przeżegnałem się i krok po kroku zbliżałem się do głowy pasącego się byka, kiedy wyciągnąłem rękę, ażeby chwycić byka za rogi, byk podniósł głowę i jednym rogiem szturchnął mnie w bok, poczułem ból i odskoczyłem, byk, jakby nic się nie stało, dalej skubał trawę.

Moje zmagania z bykiem obserwował stary kazach Żentucha, zbliżył się do mnie i udzielił mi praktycznej lekcji, jak należy postępować z bykami - szybkim krokiem podszedł do jednego a następnie do drugiego byka, założył powróz na rogi, podprowadził oba byki do dyszla wozu i najpierw jednemu, a potem drugiemu założył na szyję jarzmo, z którego byki już nie mogły wyjąć głowy. Stary Żentucha pouczył mnie, że jeżeli patrzy się bykowi w oczy, to byk jest przekonany o strachu człowieka i nigdy nie pozwoli założyć sobie jarzmo. Z bykiem należy postępować stanowczo i energicznie, wówczas będzie on posłuszny człowiekowi. Minęło dużo czasu zanim ja, mały chłopiec, potrafiłem ujarzmić byków; ze złości, niemocy a często i z bólu, kiedy byk szturchnął mnie rogiem w bok lub nadepnął na stopę nogi, w ukryciu płakałem i przeklinałem upartego byka.

Z biegiem czasu stawałem się starszym i silniejszym, opanowałem wszystkie tajniki i metody postępowania z bykami, stałem się specjalistą w ujarzmianiu młodych byków zarówno w zaprzęgu jak i wierzchem. Już nie ja uciekałem przed bykiem, lecz byk uciekał przede mną. Ciężka praca, jaką wykonywałem ja i ujarzmione byki, wspólnie nas zbliżyła na przeszło 6-cio letni okres mojej zsyłki.

Po zakończeniu żniw przyszła wietrzna chłodna i krótka jesień, a miejscowi ludzie opowiadali nam o szybkim nadejściu bardzo długiej i mroźnej zimy i ostrzegali, że jeżeli przed opadem śniegu nie zaopatrzymy się w dostateczną ilość opału, to trudno będzie nam przeżyć i przezimować.



Wszyscy, cała nasza rodzina zaczęliśmy zbierać i zwozić przed naszą ziemianką opał; ja wraz z siostrą Janką zwoziłem słomę, a młodsze rodzeństwo wraz z mamą zbierali na polu nawóz krowi "kiziak", który był najbardziej cennym i przydatnym opałem. Kiziaka zebraliśmy bardzo mało, gdyż na ten opał polowali wszyscy mieszkańcy sowchozu i pasiaką, a którego na polach było w ograniczonej ilości, natomiast słomy, która stanowiła podstawowy opał, zwieźliśmy pod ziemiankę kilkanaście drabiniastych wozów. Zimą z 1940 na 1941 r. ja pracowałem przy zwożeniu siana z pola pod chlewy, gdzie zimowały bydło i owce, natomiast Janka z mamą pracowali przy obrządzaniu bydła lub przy zbożu w przechowalni zboża (ziarnochroniliszczu).

Moja praca była bardzo ciężka i niebezpieczna. Każdego dnia rano o godzinie 5 karawaną około 10-ciu sań zaprzegniętych w woły byki udawaliśmy się w step po siano, które znajdowało się prawie 20 kilometrów od miejsca zamieszkania.

Na miejscu trzeba było kopki siana przymarznięte i zasypane śniegiem wyrywać widłami; mdlały ręce, bolał brzuch i poprostu brakowało sił. Po załadowaniu siana na wszystkie sanie wracaliśmy w drogę powrotną, zdarzało się, w czasie, której zaskakiwało nas niespodziewanie burza - śnieżna zamieć połączona z silnym mrozem.

Buran trwał od kilkunastu godzin do kilku dni, a w czasie jazdy podczas buranu woły byki ze zmęczenia kładły się na śnieg, traciliśmy orientację, gdzie jesteśmy i w jakim kierunku należy jechać, a nade wszystko było mi bardzo zimno - ubrany byłem w dziurawą kufajkę, a na nogach miałem zwykłe trzewiki owinięte szmatami.

Nie miałem ciepłej bielizny, szalika, a nawet rękawic. Do wykonywania każdej pracy zimą i w okresie trwania buranu potrzebna była ciepła odzież i ciepłe walonki - "pimcy", ja w takim czymś mogłem tylko marzyć. Na miejsce do domu zwracaliśmy często o północy, nie zdążyła się wysuszyć odzież i obuwie, a o 5-tej rano trzeba było znowu jechać w step po siano. Bardzo często zagładała mi w oczy biała mroźna i śnieżna śmierć.

Któregoś dnia byłem tak mocno przemarznięty i zmęczony, że zasnąłem i nie zgłosiłem się o 5-rano do pracy, wówczas do naszej ziemianki wpadł wściekły przewodniczący Sowchozu Jaronenko, sieknął mnie kilka razy nahajką i od tego momentu nie miałem odwagi spóźnić się lub nie zgłosić się do pracy.

Zima była bardzo mroźna, a palenie w piecu słomą nie dawało specjalnego skutku - w ziemiance było zimno, a przez okno zapchane szmatami nawiewał do wewnątrz śnieg. W czasie długotrwałej zimy [oprócz wyjątkowego zimna] dokuczał nam<sup>xxx</sup> bardzo głód - na dobę cała nasza 8-osobowa rodzina otrzymywała łącznie 1 kg i 100 gram chleba /po 200 gram dla pracującego i po 100 gram dla pozostałych członków młodszego rodzeństwa/. Podczas zimy nasza mama robiła wszystko, co było w Jej mocy, ażeby ochronić nas przed śmiercią głodową i chorobami. W wyjątkowo trudnych momentach, znajdujące się tam polskie rodziny zawsze spieszyły sobie z pomocą.

Po ustąpieniu zimy życie nasze i praca przebiegały podobnie jak na przestrzeni wiosny, lata i jesieni 1940 r. Wczesną wiosną wypalanie słomy i ściernisk, następnie trucie myszy na polu, plewienia i sianokosy. Często traciliśmy nadzieję, czy przeżyjemy i kiedykolwiek wrócimy i zobaczymy naszą upragnioną Polskę. W czasie wolnych chwil po pracy szczególnie wieczorem Pani Lidia Awdziejczyk /która w Polsce była nauczycielką/ zbierała nas, wszystkie polskie dzieci, i czytała polskie książki, opowiadała o Polsce i stale przypominała nam o obowiązku rozmawiania ze sobą po polsku. Pewnego dnia zebraliśmy się *wszyscy*, w miejscowym klubie /"krasnym ugołkie"/, gdzie na ścianie wisiała duża mapa świata. Wszyscy szukaliśmy na mapie, gdzie znajduje się nasza Polska i Warszawa, Warszawę znaleźliśmy, natomiast Polski nie znaleźliśmy - Polska była rozdarta na dwie części, a ziemie Polski były oznaczone dwoma kolorami - brunatnym i napisem "Giermania" i czerwonym z literą C i dalej CCP. Pani Lidia pocieszyła nas, że nadejdzie czas naszego powrotu do Polski. Pani Lidia Awdziejczyk znała dobrze język rosyjski, czytała gazety i orientowała się, co dzieje się na świecie. 22 czerwca 1941 r. przewodniczący Sowchozu - Pusiokka na zebraniu wszystkich mieszkańców oznajmił, że dzisiaj 22 czerwca rano wojska niemieckie napadły na ZSRR i rozpoczęło się święta wojna przeciwko niemieckim zabójcom. My, Polacy, skrycie cieszyliśmy się, że nareszcie Niemcy i Sowieci, którzy wspólnie rozdarli i rozdrapali naszą Polskę, chwyci się za łby. Powróciła do nas wszystkich nadzieja, że może zmieni się nasz beznadziejny los zesłańców i niewolników.



#### ROZDZIAŁ IV.

Po wybuchu wojny niemiecko-sowieckiej życie w naszym Sowchozie-Pasiołku uległo dużym zmianom, natychmiast powołano do wojska wszystkich mężczyzn, pozostali tylko bardzo potrzebni specjaliści - traktorzyści, kombajniści i mechanicy. Zmieniło się również życie w naszej rodzinie. Naszą mamę za sianie wrogiej propagandy i demonstracyjne odmawianie zrezygnowania z polskiego pochodzenia i odmowę przyjęcia białoruskiego lub ukraińskiego pochodzenia, miejscowy sąd składający się z przewodniczącego Sowchozu Jarozienki i naszego "opiekuna" oficera NKWD ze stacji Kijały, skazał na 4 miesiące więzienia - mamę pod konwojem zabrano i wywieziono do nieznanej miejscowości. Jednocześnie na ścianach w "krasnym ugołkie" i w kantorze zostały wywieszane ogłoszenia - afisze, z których wynikało, że wszyscy zesłańcy w wieku od 12 lat są zobowiązani wykonywać każdą pracę pod groźbą więzienia.

Nas najbardziej martwiło to, że zabrano do więzienia naszą mamę. Obowiązki głowy rodziny przyjęła 16-letnia siostra Janka, a rodzina Awdziejczyków i babcia Janczenia otoczyli nasze młodsze rodzeństwo opieką - pomagali, jak mogli i czym mogli. Wszyscy słuchaliśmy Janki i liczyliśmy dni - kiedy wróci nasza mama, o co prosiliśmy i modliliśmy się do Pana Boga.

Czas bardzo szybko upływał i na początku lipca 1941 r. Pani Lidia Awdziejczyk z wielką radością powiadomiła nas wszystkich Polaków - zesłańców, że nasza ukochana Polska nie zginęła - w Anglii istnieje Polski Rząd na czele z generałem Sikorskim, który w tych dniach podpisał ze Związkiem Sowieckim umowę o wzajemnym uznaniu i teraz napewno nasz tragiczny i prawie beznadziejny los ulegnie zmianie - napewno zostaniemy ocaleni.

Wiadomość ta nas wszystkich Polaków bardzo ucieszyła, duchowo czuliśmy się wolni, lecz fizycznie nadal byliśmy zesłańcami i niewolnikami. Na naszą radość przewodniczący Sowchozu specjalnie nie reagował - często powtarzał, że nadal jesteśmy zobowiązani wydajnie pracować, być posłusznymi władzy sowieckiej i przestrzegać zakazu opuszczenia miejsca naszego zesłania. Pożyjemy, to zobaczymy, a narazie nie ma żadnego przykazu/rozporządzenia/. Po około dwóch miesiącach powróciła z więzienia nasza mama, którą zwolniono przedterminowo - nasza radość była wielka i spontaniczna, trudna do opisania.

Nasza mama, podobnie jak my wszyscy oraz pozostałe polskie rodziny, oczekiwaliśmy najważniejszej chwili - spotkania się z mężami i ojcami, lecz była to tylko upragniona nadzieja.

Ogólna radość, jaką przeżywaliśmy, spowodowała, że natchnienie wiary i spełnienia marzeń szukano w siłach nadprzyrodzonych. Wieczorem kobiety i starsze dziewczęta zbierali się u Awdziejczyków /którzy mieli największą ziemiankę/, zasiadali dookoła stołu i przy prawie zgaszonej lampie ~~zgaszonej lampie~~ naftowej /elektryczności nie było/ wywoływali duchy, u których pytali - zadawali pytania, kiedy wrócimy do Polski?, czy żyją nasi ojcowie itp.

Poruszający się po stole spodek, dotykany palcami przeważnie zatrzymywał się przy odpowiedzi - napisie bardzo pozytywnym dla naszej mamy i dla innych osób wywołujących duchy.

Seansy takie odbywały się bardzo często i trwały nieraz przez całą noc.

Mama opowiadała, że <sup>została</sup> zwolniona z więzienia w Pietropawłowsku, to na dworcu widziała duże ilości mężczyzn Polaków zwolnionych z sowieckich łagrów, którzy udawali się do miejsc, gdzie organizowała się Wojsko Polskie lub poszukiwali swoich rodzin.

Przechowując list ojca z Ostaszkowa oraz fakt, że Polacy są zwalniani z więzień i łagrów, mieliśmy nadzieję, że nasz ojciec żyje i napewno poszukuje nas. Ja bardzo prosiłem mamę o wyrażenie zgody, ażebym ja mógł udać się do Pietropawłowska na poszukiwanie ojca.

Pod wpływem dobrych informacji od "ducha" w czasie wrócenia z wielką obawą, lecz z nadzieją mama pozwoliła mi wyjechać na poszukiwanie ojca.

Ja przejęty swoją rolą, ~~byłem~~ bardzo szczęśliwy, zarzuciłem woreczek z Lepioszkami na ramię, schowałem za pazuchę list ojca z Ostaszkowa i wyruszyłem na poszukiwanie ojca. Do stacji Kijały oddalanej od naszego Sowchozu o około 25 kilometrów dotarłem pieszo w kilka godzin i na miejscu byłem po zachodzie słońca. Dokładnie wiedziałem, że z południa na północ biegła jedna dwukierunkowa kolej, transporty z załadowanym węglem jechały z Karagandy obowiązkowo przez Pietropawłowsk i często zatrzymywały się w Kijałach.

Kiedy prawie całkowicie było już ciemno, w składzie stojącego transportu upatrzyłem otwartą węglarkę, szybko wdrapałem się na węgiel i prawie natychmiast pociąg zagwizdał i ruszył do przodu. Wszystko dotychczas robiłem szybko, bez zastanawiania się i dopiero kiedy pociąg nabrał dużej szybkości, obleciał mnie stach, lecz na odwrót było już za późno.



Przeżegałem się i zmówiłem pacierz, <sup>17</sup> pomału uspokoiłem się, a po kilku minutach byłem już całkowicie spokojny i oswojony w miejscu, gdzie się znajdowałem. Sam do siebie uśmiechałem się i nuciłem znaną mi czastuszkę:

"i żyć budziem i gula~~ch~~ budziem, a przydziot wre<sup>nie</sup>nie pamirać budziom"  
Z Kijałów do Pietropawłowska był około 300 kilometrów, na miejsce do [Pietropawłowska] dojechałem nad ranem. Przed dworcem kiedy pociąg zwolnił bieg, zeskoczyłem i omijając widocznych ludzi doszedłem do dworca.

Dworzec kolejowy w Pi<sup>o</sup>tropawłowsku mieścił się w parterowym drewnianym budynku, posiadał jedną dość dużą poczekalnię, w której upatrzyłem sobie odpowiednie miejsce na posadźce i z zaciekawieniem obserwowałem dziwne widoki i zdarzenia.

Na betonowej posadźce, ciasno obok siebie, spali mężczyźni, kobiety i dzieci różnej narodowości, a możliwość poruszania się po poczekalni była bardzo ograniczona, ponieważ można było chodzić tylko prawie po leżących lub wąskim przejściu. W poczekalni było dużo wojskowych leżących na posadźce lub poruszających się tam i zpowrotem.

Kiedy było już prawie widno, prawie wszyscy, którzy spali, zaczęli szybko wstawać, zabierali swoje skromne tobołki i opuścili dworzec, chociaż w tym czasie nie przyjechał i nie odjechał żaden pociąg. Ja najbardziej obawiałem się milicjanta i ciągle rozglądałem się, czy nie grozi mi niebezpieczeństwo. Życie na dworcu wrzało jak w ulu - różni ludzie przeważnie boso /podobnie jak i ja/ krzyczeli i rozmawiali różnymi językami - wszystko, co obserwowałem, było dla mnie dziwne, nieznanne, a nawet przerażające.

Obserwując ludzi zauważyłem siedzącego mężczyznę, który na głowie miał polską zniszczoną rogatywkę i był jakiś inny od pozostałych ludzi. [Jakiś czas obserwowałem go i] doszedłem do przekonania, że jest to napewno Polak. Spotkanie z Polakiem bardzo mnie ucieszyło, a w trakcie wspólnej rozmowy opowiedziałem cel mojej wyprawy. Spotkany Polak pochodził z Baranowicz, służył w Polskim Wojsku, przez bolszewików został schwytany i zesłany do pracy w łagrze na północy ZSRR, po zwolnieniu z łagru jechał do swojej rodziny, która została wywieziona w okolice m. Kokczeta<sup>w</sup> w Kazachstanie, następnie zamierzał szybko zgłosić się do powstającej armii W.P., generała Andersa. Bardzo mnie przestrzegał przed niebezpieczeństwami, jakie mogą mnie

spotkać, i radził wracać do rodziny, jednocześnie wyjaśnił, że najwięcej można spotkać Polaków zwalnianych z łagrów i więzień w mieście Świerdłowsku, gdyż było <sup>to</sup> duże miasto, w którym znajdowały się specjalne punkty /ośrodki/ dla Polaków zwalnianych z więzień i kierowanych do powstającej armii polskiej. Przy okazji dowiedziałem się, że ludzie, którzy nocują w poczekalni dworca, są mieszkańcami Pietropawłowska i z powodu braku mieszkania, nocują na dworcu, a w dzień pracują w różnych zakładach i miejscach na terenie miasta. Wspólnie zjedliśmy dobry posiłek (konserwa i herbata z cukrem), a następnie wieczorem spotkany Polak odjechał na poszukiwanie swojej rodziny.

Siedząc na poczekalni dworca rozmyślałem, co mam robić dalej - wracać do domu czy jechać do Świerdłowska. Wieczorem zaczęli przybywać ludzie bezdomni, rozkładali na posadzce worki, szmaty lub gazety i układali się do snu. Dziwne życie, jakie toczyło się na dworcu, bacznie obserwowałem i zauważyłem, jak chłopak w moim wieku przytulony do dwóch śpiących kobiet przecinał nożem ich tobołki - szybko i sprawnie opróżniał je. Spłoszone ze snu kobiety podniosły krzyk - „żuliki, maszeniki, ugrabili mienia” itp., mój rówieśnik zerwał się do ucieczki, powstało zbiegowisko ludzi, a uciekający chłopak swój łup w biegu przekazał siedzącemu obok mnie dorosłemu chłopakowi.

Całe zajście z uwagą obserwowałem. Wkrótce znalazły się milicjanci, którzy zaczęli wypytywać siedzących ludzi, czy ktoś pozna je złodzieja lub współników. Milicjant zapytał mnie, czy nie poznaje żulików - złodzieji - oświadczyłem, że spałem i nic nie widziałem, co się działo. W czasie rozmowy z milicjantem bacznie byłem obserwowany przez siedzącego obok chłopaka, któremu uciekający żulik przekazał łup.

Przestraszony i bardzo ząęczony zasnąłem kamiennym snem. Nie wiem, jak długo spałem - poczułem, że ktoś mnie trąca w ramię, zerwałem się ze snu i rozpoznałem trącającego mnie starszego chłopaka - był to ten, któremu uciekający żulik przekazał skradziony łup, zauważył mój strach i z uśmiechem - oświadczył - „maładziec pacar”, nie bój się, nie wydałeś mnie milicjantowi i ja tobie też pomogę. Poczęstował mnie papierosem i zaczęliśmy wspólną rozmowę, w końcu ostrzegł przed niebezpieczeństwem, jakie mnie grozi i widząc, że jestem bezprxyzorny - /bezdomny/ zaproponował, ażebym poszedł z nim.



Niewiem, dlaczego uwieżyłem, po krótkim czasie szliśmy razem, gdzie prowadził mnie poznany chłopak. Po dość długim marszu dotarliśmy na skraj lasu, zatrzymaliśmy się, a Jaszka - tak przedstawił mi się - wskazał na duży stóg siana, oświadczając, że tam jest jego dom i będzie mi tam dobrze. Gwizdnął kilka razy na palcach, aże stogu siana pokazał się chłopak z uniesioną do góry ręką - Jaszka powiedział - droga wolna, możemy iść. Zamaskowanym wejściem weszliśmy do środka stogu, gdzie było dość widno /u góry był duży otwór - okno/, obszerna wolna przestrzeń, w której na sianie siedziało lub leżało kilkudziesiąt chłopców w różnym wieku. Jaszka kazał mi poczekać, a sam zniknął w otworze, prowadzącego do innego pomieszczenia. Po pewnym czasie zawołał mnie i znalazłem się w drugim pomieszczeniu /przestrzeni/ - o wiele mniejszej, a na fotelu siedział dorosły mężczyzna w wieku około 20 lat, a obok niego siedziała i brzdękała na gitarze młoda dziewczyna. Mężczyzna wstał z fotela, podał mi rękę i podczas dość długiej rozmowy opowiedział, gdzie ja jestem. Na wstępie zaznaczył, że dokładnie wie o moim [prawkowym i sprytnym] zachowaniu się na dworcu [w czasie rozmowy z milicjantem /legawym - glina/], pochwalił mnie za to, że nie wydałem chłopców, którzy "pracowali" na dworcu, a na koniec powiedział, że zostałem przyjęty do bandy (nazwał ruchomy Dzieddom). Nie miałem wyjścia i bardzo się bałem gangu, więc zgodziłem się, tak jak postanowił dorosły mężczyzna - stałem się członkiem bandy.

*W Decyście*  
Przy udziale wszystkich obecnych członków bandy /ruchomego Domu Dziecka/ [dorosły] mężczyzna - którego nazywano "Ataman", przedstawił mnie zebranym. i kazał, ażebym opowiedział wszystko o sobie, a ponieważ dość słabo mówiłem po rosyjsku, zapytał, jakiej jestem narodowości - odpowiedziałem, że jestem Polakiem i sierotą - "Ataman" z uśmiechem zaznaczył, że w tym "ruchomym Dzieddomie" dotychczas Polaków nie było i że ja jestem pierwszy". Przy zadawaniu różnych pytań "Ataman" spostrzegł, że jestem zdenerwowany, przestraszony i prawie płaczący, więc "przesłuchanie" mnie było krótkie. Na koniec "Ataman" oznajmił wszystkim zebranym, że jestem równoprawnym członkiem bandy - gangu, ostrzegł wszystkich, ażeby nie dokuczano mi, natomiast polecił, ażeby każdy traktował mnie na równi z innymi [wszystkimi]. Jaszka został moim opiekunem i nauczycielem nowego zawodu w bandzie, z którym szybko i bardzo zaprzyjaźniłem się. Jaszka opowiedział mi o członkach - dzieciach bandy, która liczyła prawie 30 osób, różnej narodowości i o różnym wieku - od 8 do 18 lat.

Prawie wszyscy uciekli z Domu Dziecka lub z więzienia z wyrokami do 20 lat, a kilku starszych chłopców mieli na sumieniu zabójstwa.

O różnych porach roku przenoszą się w różne miejsca, w okresie zimy grasują na południu, a latem przenoszą się na północ.

Ataman jest dezerterskim z wojska, stoi na czele bandy, a dziewczyna - Ryta, jest jego przyjaciółką.

Wszystkich członków bandy obowiązuje surowa dyscyplina, a najbardziej są karani tchórze i zdrajcy - przestrzegają zasady, że gdzie mieszkają, tam nie kradną. Stóg siana znajdował się niedaleko kolchozu, a z pól i domów kolchoźników nic nie można było ruszać, w zamian kolchoźnicy w niczym nie przeszkadzali bandzie, [gangowi].

Po umyciu i wykąpaniu się w pobliskim jeziorze dostałem bardzo dużo jedzenia - konserwy, biały chleb, czekoladę - takiego jedzenia nie miałem i nie jadłem od czasu wywiezienia z Polski.

W tym czasie różne myśli błądziły [się] w mojej głowie, lecz najważniejsze, że po raz pierwszy od dwóch lat byłem do syta najedzony.

W bandzie był podział "pracy", byli kieszonkowcy, specjaliści od okradania wagonów z różnych towarów. Pracowali na dworcu, w sklepach, na targowiskach - bazarze itp. Każdy był specjalistą wysokiej klasy w swoim zawodzie. Ja (dopiero) początkujący.

Po kilku dniach wylegiwania się, kąpania i dobrej wyżerki Jaszka zakomunikował mi, że dzisiaj idziemy na "robotę", swój pierwszy egzamin w nowym zawodzie będę zdawał na miejscowym bazarze. Po znalezieniu się na miejscu, t.j. na bazarze Jaszka upatrył kobietę - kolchożnicę, sprzedającą na straganie białe i pulchne lepionki (placki); kilka rozłożyła na straganie, a resztę [znajdowała się] w stojącym obok worku. Jaszka wytłumaczył mi, że ja muszę chwycić ze straganu kilka lepionek i uciekać w umówione miejsce, a On wykona pozostałe zadanie.

Z duszą na ramieniu, zbliżyłem się wraz z kupującymi do straganu, schwyciłem dwie duże lepionki i w nogi - kobieta przeklinając ruszyła za mną, a w tym czasie Jaszka błyskawicznie chwycił za worek z lepionkami.)

Kobieta nie złapała mnie i nie mogła złapać Jaszki, ludzie, którzy wszystko obserwowali - jedni śmieli się, drudzy przeklinali a inni wzywali milicję. Po "robocie" z Jazką spotkałem się w umówionym miejscu - ja trząszem się ze strachu, a Jaszka uśmiechając się uspakajał



i pocieszał mnie - moładziec, egzamin zdałem<sup>s</sup>, a my nic złego nie robimy, tylko "zaciągamy pożyczkę" od społeczeństwa i Państwa - kiedy podrośniemy lub wpadniemy w łapy milicji, to wszystko odpracujemy i odpłacimy. Rozumowanie Jaszki było proste - w ustroju sowieckim logiczne.

Po następnych kilku dniach we troje - ja, Jaszka i jeszcze jeden, udaliśmy się wieczorem na dworzec kolejowy z zamiarem dokonania kradzieży [różnych] towarów znajdujących się w wagonach, każdy miał ze sobą odpowiednie narzędzia "pracy" - klucze do otwierania wagonów, szczytce do przecinania drutu itp. Na dworcu Jaszka ustalił, że ja poczekam przed dworcem w umówionym miejscu, a oni przeprowadzą szczegółowe rozpoznanie na torach, gdzie stały wagony z towarami. Kiedy zostałem sam, zaczęły targać moim sumieniem różne myśli, przed oczyma widziałem głodne i oblatłe moje rodzeństwo - braci i siostry, czekającą<sup>na</sup> z<sup>e</sup> dobrymi wieściami moją mamę, która wysłała mnie na poszukiwanie naszego ojca, a ja o wszystkim tym i o moim ważnym obowiązku zaczynałem zapominać.

W tym czasie usłyszałem z głośnika zapowiedź spikiera - "pociąg pociąg pociąg z Pietropawłowska do Świerdłowska odjeżdża z peronu trzeciego" - przeżegnałem się, jednym susem znalazłem się na stopniach ruszającego wagonu. Tak niespodziewanie pożegnałem się z bandą "ruchomym Domem Dziecka" i ruszyłem do Świerdłowska na dalsze poszukiwanie mego ojca. Mając klucz od otwierania drzwi wagonów, otwarłem drzwi i pocichu wśliznąłem się do środka, gdzie stali lub siedzieli drzemiący<sup>y</sup> ludzie. Wlazłem pod ławkę w przedziale, zwinięty w głąbek, przestraszony, wsłuchiwałem się w miarowy stukot kół pędzącego pociągu.

Szybko zmorzył mnie sen, spałem twardo i długo, a podczas snu miałem dziwny i straszny sen - śniło mi się, że za pędzącym pociągiem biegli Ataman, Jaszka i ich kompani, trzymali w zębach nóż i strasznie krzyczeli - zdrajca, zdrajca. Bardzo szybko doganiali pociąg, a kiedy wskakiwali do wagonu - raptownie zerwałem się ze snu, cały mokry od potu i oszołomiony. Powoli wróciłem do rozmowy psychicznej, otrząsnąłem się z koszmarne go snu, uświadamiając sobie, że nio<sup>ni</sup> mnie nie grozi ze<sup>z</sup> strony Atamana i Jaszki - pocichutku z radości zanuciłem zwrotkę bandyckiej piosenki, którą stale śpiewał Jaszka: "Ja umi<sup>e</sup>ju ma<sup>o</sup>ła<sup>o</sup>cić, umi<sup>u</sup>ję padma<sup>o</sup>łaczywa<sup>o</sup>ć, umi<sup>u</sup>ję gołowy kruci<sup>o</sup>ć, karna<sup>o</sup>ny wy<sup>o</sup>waraczywa<sup>o</sup>ć". Do Świerdłowska jechałem prawie całą noc i następny dzień, na miejsce dotarłem bez specjalnych przygód wieczorem.

Dworzec kolejowy w Świerdłowsku <sup>był</sup> bardzo duży, o wiele większy od dworcy w Pietropawłowsku. Paniętając pouczenia i wskazówki szybko odnalazłem polski punkt zborno-sanitarny /ośrodek informacyjny/, który mieścił się niedaleko dworca i w którym udzielono pomocy Polakom wracającym z sowieckich więzień i łagrów i zmierzających do polskiej Armii generała Andersa. Po raz pierwszy od prawie dwóch lat zobaczyłem polskiego oficera ubranego w mundur, w furażerze z polskim orłem - ja wpatrywałem się w oficera i bardzo zazdrościłem jemu i pragnąłem być na jego miejscu - lecz był to wzruszający podziw i radosne marzenie, miałem zaledwie 13 lat.

W polskim punkcie informacyjnym było kilka kobiet w białych fartuchach oraz duża ilość mężczyzn - źle wyglądających, ubranych w różne kachmany, lecz często uśmiechających się. Wśród tych Polaków poczułem się, że jestem w Polsce, tym bardziej, że przed wejściem do wewnątrz punktu wisiały dwie polskie biało-czerwone flagi, tak bliskie [mnie i] wszystkim Polakom, zesłańcom i łagiernikom. Na miejscu otoczono mnie bardzo troskliwą opieką, wnyto i do syta nakarmiono. Tutaj powróciła nadzieja, że może uda mi się trafić na ślad [i odnaleźć] mego ojca.

Oficerowi z dwoma gwiazdkami, szczegółowo opowiedziałem o wszystkim, co spotkało ze strony sowieckich oprawców mego ojca i całą moją rodzinę. Pokazałem list ojca z Ostaszkowa oraz gdzie zostaliśmy wywiezieni. Oficer długo sprawdzał w papierach i wykazach osób, które po zwolnieniu z łagrów i więzień przewinęły się przez punkt informacyjny w Świerdłowsku, na koniec oświadczył, że niestety - nikt z Polaków z Ostaszkowa do Świerdłowska nie dotarł. Informacja oficera bardzo mnie zmartwiła.

W polskim punkcie informacyjnym przebywałem przeszło tydzień czasu, było mi tam bardzo dobrze, a przede wszystkim damno do syta jeść, wśród Polaków czułem się, jakbym był w Polsce.

[W czasie rozmów z] Polakami powracającymi z łagrów i więzień sowieckich, stale wypytywałem o mego ojca - czy ktoś nie spotkał [się z ojcem] lub gdzie ojciec może przebywać.

Wszyscy mi współczuli i jednocześnie pocieszali, że napewno ojciec gdzieś żyje i przyjedzie napewno czas, że się wszyscy - cała nasza rodzina połączymy. [się razem].

[Oficer - porucznik, który był tam osobą najważniejszą, chciał mi bardzo pomóc, a nawet zaproponował [mnie] pozostanie przy Polskim Wojsku, gdzie podobnych jak ja sierot - włóczęgów, <sup>2</sup>wielodzietnych polskich



rodzeń było bardzo dużo. Mnie natomiast bardzo martwiła sytuacja i los mojej mamy i rodzeństwa - wszyscy oni żyli w wyjątkowo trudnych warunkach i napewno z niecierpliwością oczekiwali na mnie. Troska o całe rodzeństwo zwyciężyła - postanowiłem wracać do Sowchozu - Pasiołku, a decyzje moją pochwalił porucznik. Dano mi ładne zielone, angielskie, wojskowe spodnie i bluzę, nowe trzewiki, kilka konserw, cukru i chleba. Porucznik załatwił jakieś zaświadczenie w celu okazywania różnym sowieckim kontrolom, wykupiono bilet kolejowy aż do stacji Kijaży i pociągiem relacji Swierdłowsk - Karaganda wyruszyłem do domu. Po przejeździe dwóch dobach jazdy, bez specjalnych przygód, szczęśliwie dojechałem na miejsce naszej zsyłki - do mojej mamy i rodzeństwa. Najbardziej obawiałem się spotkania z Atamanem i Jazką z bandy - lecz na moje szczęście pociąg przez Pietropawłowsk przejechał prawie o północy.

## ROZDZIAŁ V

Kiedy dotarłem na miejsce, wszyscy bardzo się ucieszyli z mego powrotu i z tego, że przywiozłem sporo jedzenia (chleb, konserwy, cukier), natomiast bardzo się zmartwili, że nie przywiozłem żadnej wiadomości o ojcu. Bardzo szczegółowo opowiedziałem mamie o wszystkim, co widziałem i czego doświadczyłem w czasie przeszło trzytygodniowej mojej podróży i przygodach - jedynie zataiłem fakt przebywania w dziecięcym złodziejskim gangu.

W Sowchozie - Pasiołku podczas mojej nieobecności nic szczególnego nie wydarzyło się, jedynie na miejsce dotychczasowego Przewodniczącego Sowchozu Jaroszenki, który został powołany do wojska, powołano nowego - był to zwolniony z wojska Kazach - Barambajew, (ludzie mówili, że sam przestrelał sobie dłoń, ażeby uniknąć pobytu na froncie). Był to człowiek, wredny, a szczególnie nienawidził nas Polaków, poruszał się przeważnie konno z nahajką w ręku i w każdej chwili, bez żadnych powodów, można było oberwać od niego - zawsze krzyczał - pracować, pracować dla armii i frontu. Podobnie jak my Polacy, nienawidzili go jego ziomkowie, Kazachowie - często powtarzali, że jest to odszczepienie /był komunistą/.

Moja wyprawa na poszukiwanie ojca oraz wszystko to, co w-  
działem i doświadczyłem, nie poszło na marne - zrozumiałem, że ażeby  
utrzymać się przy życiu i nie zdechnąć z głodu, trzeba było kraść,  
jak to czynili prawie wszyscy mieszkańcy Sawchozu - Pasiółka.

Z powodu braku rąk do pracy, ponieważ prawie wszyscy mężczyźni  
zostali powołani do wojska, zmuszano nas Polaków, dorosłych i dzieci,  
do różnych ciężkich prac w czasie żniw, często po 15-20 godzin na do-  
bę. Ja wróciłem z powrotem do swoich wołów-byków i zwoziłem pszenicę  
z pola na plac /tok/-klepisko. W Sochozie norma, którą musiałem wyko-  
nać, była bardzo duża - musiałem przewieść i przerzucić rękoma 20 ton  
pszenicy.

Podobnie jak ja wozili pszenicę moi koledzy Polacy - Olek  
i Leszek Awdziejczykowie oraz Stefan i Jurek Noskowicze, a pomagali  
nam nasi młodszy bracia. Kiedy ja zmęczony leżałem na bryczce, to 6-  
-letni Kazik i 7-letni Staszek poganiali woły-byki. W czasie wyjątko-  
wo ciężkiej pracy, mogliśmy wszyscy najeść się do syta surowej i zie-  
lonej pszenicy. Nasza mama wraz z innymi polskimi kobietami i dziewczę-  
tami pracowały na klepisku /placu/ przy przewracaniu pleśniejącej  
pszenicy, a małe Danusia i Tereska również pomagały mamie - wszyscy  
późnym wieczorem bardzo zmęczeni wracaliśmy do naszego domu - ziemian-  
ki i każdy wytrzepywał z różnych zakamarków ukradzioną pszenicę,  
z której mama wraz z Janką robili różne ~~potrawy~~ potrawy, zjadane  
przez nas bardzo głodnych z wielkim apetytem. Mama już prawie wszyst-  
kie przedmioty przywiezione z Polski wymieniła na żywność - żyło nam  
się z każdym miesiącem ciężiej, brak było odzieży i jedzenia.  
Za ciężką i niewolniczą pracę, wykonywaną w wyjątkowo trudnych warun-  
kach, otrzymywaliśmy skromny "pajok" - 200 gram chleba - gliny dla pra-  
cującego i 100 gram dla dzieci pomimo, że pracowali jak mogli razem  
z dorosłymi.

Późną jesienią 1941 roku [z powodu silnego przeziębienia się]  
zachorowałem na dwustronne zapalenie płuc. Z pracy do domu - ziemian-  
ki wróciłem wieczorem, a po krótkim czasie miałem temperaturę powyżej  
41°. Zmartwiona mama zawołała /za opłatą/ weterynarza, gdyż prawdzi-  
wego lekarza nie było. Przed utratą przytomności zapamiętałem słowa  
pocieszenia weterynarza, który powiedział: "jeśli prażywiot, to bu-  
dziet żyć". W czasie ciężkiej choroby opiekowała się mną młodsza sio-  
stra Jadzia, która szmatką zwilżała popękane moje usta. Przytomność



wróciła po dwóch tygodniach, a kiedy otworzyłem oczy, wszyscy obecni w ziemiance, młodsze rodzeństwo na czele z Jadzią, zaczęli krzyżać i uciekali na dwór. Po kilku dniach Jadzia powiedziała mi, co było powodem krzyku i ucieczki - leżałem nieprzytomny, bez żadnego ruchu i strasznie wyglądałem, wszyscy byli przekonani, że jestem trupem, który niespodziewanie otworzył oczy. Po tak ciężkiej chorobie wyglądałem strasznie - same kości i skóra, całe plecy odpażone, nie miałem siły przewrócić się z boku na bok. Kiedy zacząłem wracać do zdrowia, chciało mi się bardzo jeść, z głodu wydłubywałem ze śiany glinę zmieszaną z krowim łajnem - była słodka, więc zjadałem z apetytem. Dzięki mamie, Jance, Jadzi i pozostałemu rodzeństwu oraz Opatrzności Pana Boga przetrwałem groźną chorobę i po krótkim czasie, chudy, bardzo osłabiony i nie do końca wyleczony wróciłem do pracy.

Mniej więcej w tym czasie na obustronne zapalenie płuc zachorował mój rówieśnik i najlepszy kolega - Olek Awdziejczyk, który podobnie jak ja cudem uniknął śmierci - jego Babcia dzień i noc czuwała nad nim, w końcu wyzdrowiał, lecz ślady i następstwa tej ciężkiej choroby pozostały u nas do dnia dzisiejszego.

Drugą pełną zimą na zesłaniu roku 1941/42 przeżyliśmy w ciągłym zmaganiu z głodem, chłodem i ciągłymi chorobami, które szczególnie trapiły moje młodsze rodzeństwo. Mama, Janka i ja musieliśmy wykonywać o głodzie i w chłodzie różne bardzo ciężkie prace, ażeby otrzymać nędzny "pajek", tj. 200 gram chleba i garnuszek zupy - "szary".

Wykonywanie pracy było obowiązkiem, który był surowo egzekwowany przez Przewodniczącą Sowchozu - "kto nie rabotajet, tot nie kuszajet." Po ciężkiej pracy, naszym wymażonym i jedynym schronieniem była nasza ziemianka. Chociaż było w niej zawsze ciemno, pełno robactwa (szczególnie wszy, karaluchy), to jednocześnie było od czasu do czasu w miarę ciepło - szczególnie kiedy napaliło się kiziakim lub kradzionym węglem. Mogliśmy osuszyć w niej odzież i obuwie, odpocząć, ażeby nazajutrz przystąpić do ciężkiej pracy. *roboty x*

Wczesną wiosną 1942 roku spotkało naszą rodzinę bardzo wielkie nieszczęście - nasza Janka, bezpośrednia podpora mamy, zachorowała na tyfus i w nieprzytomnym stanie w bardzo wysokiej gorączce w obawie przed epidemią została odwieziona przeze mnie wołami do szpitala mieszczącego się w Kijałach oddzielonych od naszego Sowchozu-Pasiołka o około 25 kilometrów.

Po trzech dniach odwiedziłem Jankę w szpitalu, którą mogłem oglądać tylko przez szybę okienną - była prawie naga, leżała obok łóżka na

posadzce, do którego za nogę była sznurkiem przywiązana /jako zabezpieczenie przed oddalaniem się z sali pod wpływem wysokiej gorączki/, a dokoła nieprzytomnej Janki latały dwa wielkie szczury. Był to straszny i bardzo bolesny dla mnie widok, ja w niczym nie mogłem pomóc mojej siostrze Jance. Po kilku dniach powiadomiono mamę o śmierci Janki. Razem z mamą pieszo udaliśmy się do Kijałów, odebraliśmy ze szpitala zwłoki Janki, które bez trumny - prawie nago pochowaliśmy w płytkim dole w stepowym polu, w odległości około 1500 m od szpitala, w którym zmarła w miejscu gdzie chowano inne zmarłe osoby. Wszyscy bardzo przeżyliśmy nagłą śmierć naszej Janki - miała niespełna 18 lat. Po kilku miesiącach odwiedziłem miejsce, gdzie razem z mamą pochowaliśmy Jankę - niestety, miejsce gdzie leżała nasza Janka, porośnięte było bujną stepową trawą, nie znalazłem również krzyża wykonanego z grubych badyli piołunu.

Z początkiem 1942 roku zmieniał się na gorsze stosunek miejscowych władz sowieckich do znajdujących się w Sowchozie polskich rodzin - wymagano zwiększonej wydajności pracy, a kto nie wykonał nałożonego planu - normy zmniejszano, a nawet zabierano skromny pajak tj. 200 gram chleba - gliny.)

Do Sowchozu ponownie zaczął często przyjeżdżać mundurowy enkawedzista, zaczęto ponownie spisywać dane i wymuszać rezygnację z polskiej narodowości. Wszystkie obietnice władz sowieckich dotyczące poprawy losu Polaków, które wynikały z porozumienia zawartego pomiędzy rządami generała Sikorskiego i Związku Sowieckiego, nigdy nie dotarły do naszego Sowchozu, a na przełomie lat 1942/43 nasza sytuacja raptownie ulegała pogorszeniu - straciliśmy nadzieję na wyjazd wraz z armią generała Andersa.

Wiosną 1943 r. całą naszą rodzinę oraz babcię Jaszczenie wraz z wnuczką Anią przewieziono do innej miejscowości - zostaliśmy przewiezieni do małej osady /części Sowchozu/ oddalonej o około 10 kilometrów na wypas bydła. Umieszczono nas w dużej lepiance - ziemiance, która bardziej nadawała się jako chlew dla bydła niż miejsce do mieszkania. W jednym końcu na pryzkach mieszkało kilka rodzin miejscowej ludności, natomiast w drugim końcu ziemianki umieszczono nas, t.j. naszą rodzinę, babcię Jaszczenie z wnuczką oraz dość liczną polską rodzinę Górskich, których przywieziono tam z innej miejscowości. Po środku ziemianki stał duży piec, przy którym stała kolejka,



gdyż każda z prawie dziesięciu rodzin mieszkających tam pragnęła z tego pieca skorzystać, a otworów do wstawienia garnków było zaledwie kilka. Często dochodziło do awantur i kłótni, lecz w końcu następowała zgoda - wszyscy byliśmy w jednakowej sytuacji i żyliśmy jak jaskiniowcy. Oprócz naszej lepianki był jeszcze duży barak, w którym mieszkali przeważnie Rosjanie. W całej osadzie było około dwudziestu dorosłych kobiet i dużo małych dzieci. Osada była położona na brzegu wyschniętego dużego jeziora, skąd ścinał<sup>3</sup>śmy ~~szczyt~~ trzcinę do opalania w piecu. Pracę mieszkających tam ludzi kierował uprawajuszczy i brygadzysta /kobiety/. Było kilka wiat - szop, gdzie dokonywano dojenia krów i przerobu mleka.

Było tam dużo bydła - krów oraz owiec, a do naszych obowiązków należało wypas bydła. Wyroby mleczne w postaci śmietany, twarogu oraz owczą wełnę dostarczano do stacji Kijały położonej od Osady w odległości 30 kilometrów.

Ja wraz z braćmi, Staszkiem i Kazikiem, wypasaliśmy bydło, ja byłem głównym pastuchem, a bracia mnie pomagali. Mama wraz z siostrą Jadzią i Anią Jańczeni<sup>2</sup> pracowali przy dojeniu krów oraz przepuszczali mleko przez centryfugę. Wraz z mamą pracowała Pani Górska. Praca była bardzo ciężka, ponieważ wszystkie czynności trzeba było wykonywać ręcznie. Pracowaliśmy od wczesnego ranka do późnego wieczora bez żadnego wynagrodzenia - jedynie za 200 gram chleba. Otrzymywaliśmy kilka litrów odtłuszczonego - chudego mleka i bezograniczenia kwaśnej serwatki. Po takim jedzeniu bardzo często chorowaliśmy na biegunkę, <sup>2</sup>bule żołądka i na inne choroby, lecz było ciepło, skromne jedzenie i to starczało nam do życia.

Pewnego dnia mama nal<sup>2</sup>ła do konewki trochę śmietany, dla chorych Danusi i Tereski, na nieszczęście zauważyła to brygadzystka i stało się - za kradzież [trochę śmietany] mamę skazano na 6 miesięcy więzienia, które odsiadywała /ciężko pracowała w kopalni węgla/ w Karagandzie, oddalonej od Osady o prawie 800 kilometrów. Brak mamy bardzo wszyscy przeżywaliśmy - lecz nie było wyjścia, musieliśmy dawać sobie sami radę - ja byłem głową rodziny, a 11-letnia Jadzia doglądała i wykonywała obowiązki mamy wobec młodszego rodzeństwa. Było nam bardzo ciężko, walczyliśmy z głodem i chorobami i ze straszną plagą - robactwa - z wszami i karaluchami. Żyliśmy nadzieją i z niecierpliwością czekaliśmy na powrót z więzienia naszej mamy.

Nie byliśmy sami - razem z nami było babcia Jańszenia z wnuczką Anią i liczna rodzina Górskich.

Babcia Jańszenia była w bardzo podeszłym wieku i do tego bardzo chora, los zżądził, że od samego początku naszej gehenny byliśmy razem - w jednym wagonie wieziono nas na zesłanie, wspólnie osiedlono nas w Sowchozie i razem wysłano nas na wypas bydła. Babcia miała bardzo schorowane nogi, do tego stopnia, że wogóle nie mogła poruszać się, a późną jesienią 1943 roku z powodu stale pogarszającego się stanu zdrowia oraz głodu, niespodziewanie zmarła, pozostawiając swoją wnuczkę Anię jako całkowitą sierotę. Ania bardzo rozpaczała z powodu śmierci Babci, podobnie jak my wszyscy - ponieważ po aresztowaniu naszej mamy /dwukrotnie/ Babcia Jańszenia pomagała nam, czym tylko mogła. Wspólnie pochowaliśmy bez trumny Babcię w stepie, bardzo blisko miejsca naszego zamieszkania.

Kiedy padał deszcz, woda wypłukiwała ziemię i wystawały nogi Babci. Ania bardzo to przeżywała i stale zasypywała wystające nogi swojej Babci - był to straszny widok, trudny do opisanie.

W krótkim czasie po śmierci Babci Jańszeni powróciła z więzienia nasza mama, byliśmy szczęśliwi, lecz jednocześnie bardzo zmartwie- ni widokiem naszej mamy - była bardzo chuda i całkowicie miała siwe włosy, chociaż była jeszcze młoda - miała tylko 38 lat.

W krótkim czasie razem z bydłem, które wypasaliśmy, wszyscy razem wróciliśmy do stałego miejsca naszego zamieszkania - do naszej ziemianki Sowchozu - Pasiołka. Razem z nami zamieszkała osierocona Ania, którą następnie wzięła na wychowanie miejscowa rosyjska rodzina. Przybrani rodzice Ani dążyli różnymi sposobami zrusyfikować Anię, która, pomimo, że była małym dzieckiem, szybko zorientowała się w zamiarach swoich opiekunów. Powstał konflikt, Ania często uciekała i przebywała z nami. W końcu rosyjska rodzina czyniła usilne starania, ażeby małą Anię, która sprzeciwiała się rusyfikacji, za wszelką cenę umieścić w sowieckim domu dziecka - w Dzieddomie.

Wszystkie polskie rodziny, które mieszkały w Sowchozie, czyniły wszystko co było w nich mocy, ażeby uchronić Anię. Po różnych perypetiach dzięki wspólnej pomocy, a w szczególności Pani Kuczyńskiej, mieszkającej w Kijałach, Ania została umieszczona w Polskim Sierocińcu w Mamlutce.

Czwarta zima naszego pobytu na zesłaniu z 1943 na 1944 r. od samego początku była dla nas wyjątkowo trudna. Prawie wszystkie możliwe do sprzedania przedmioty musieliśmy wymieniać na żywność.



Bardzo mało zgromadziliśmy słomy do opalania naszej ziemianki. Prawie ciągle zapadały na różne choroby młodsze rodzeństwo, - Jadzia, Staszek, Kazik, Danusia i Teresa. Co raz widoczniej zaglądało widmo beznadziejności, załamania się i strachu przed oczekującą nas najbliższą przyszłością. Wszystkie nasze zmartwienia, choroby, głód i chłód nie interesowały Prydsiedaciela i miejscowych władz Sowchozu, musieliśmy jak zawsze pracować po 12-13 godzin na dobę przy różnych bardzo ciężkich pracach. Za nie zgłoszenie się do pracy lub niewykonanie ustalonej wysokiej normy, pozbawiano nas bardzo skromnego jedzenia 200 gram chleba i garnuszka zupy.

Na samym początku 1944 r. spotkało naszą rodzinę kolejne wielkie nieszczęście. W czasie jednej nocy wszyscy za wyjątkiem mnie zachorowali na tyfus. Z powodu bardzo wysokiej gorączki w ciągu całej nocy słychać było płacz, stękanie i bredzenie. Najbardziej cierpiała nasza mama. Rano powiadomiłem Prydsiedaciela i zwróciłem się o pomoc. W obawie przed epidemią, jedyną pomoc jaką otrzymałem, to przydzielenie wołów i sani na zawieszenie mamy i 5-ga rodzeństwa do szpitala mieszczącego się w Kijołach - prawie 30 kilometrów, od naszego Sowchozu. Przy pomocy polskich rodzin, a w szczególności Awdziejczyków i Noskowiczów, załadowałem chorych na sanie i przy 40<sup>o</sup> mrozie ruszyłem do szpitala. Przez całą drogę poganiałem woły, jak tylko mogłem i ciągle obawiałem się zamrożenia lub śmierci z powodu choroby leżących na saniach mamy i rodzeństwa.

Na miejsce do szpitala dojechałem prawie o północy, i dzięki Panu Bógu wszyscy byli żywi. O tej porze w szpitalu nie było lekarza, moją mamę i 5-rę rodzeństwa strasznie przemarzniętych, nieprzytomnych i na wpół żywych, pielęgniarki przy pomocy mojej oraz miejscowego stróża - umieszczono w szpitalu, w którym prawie dwa lata temu zmarła nasza starsza siostra Janka.

Stróż zezwolił mi odpocząć i doczekać rana na terenie szpitala w swojej stróżówce, gdzie sam mieszkał. Z nastaniem dnia zaprzęgiem woły wyruszyłem w drogę powrotną. Do Sowchozu, do swojej ziemianki, dowlokłem się późnym wieczorem.

Leżąc na pryczy, pomimo zmęczenia, prawie do rana nie mogłem zasnąć - załamany i płaczący rozmyślałem nad przyszłym swoim losem oraz nad losem swego rodzeństwa - mamy, braci i sióstr walczących ze śmiercią w dalekim szpitalu.

Po kilku dniach depresji, rezygnacji i załamania, dzięki pomocy rodziny Awdziejczyków i Noskowiczów, którzy mnie pocieszali, wróciłem do jako takiej równowagi.

Modliłem się do Pana Boga, ażeby wszyscy powrócili do zdrowia. Ja musiałem na nadal przystąpić do ciężkiej pracy - woziłem <sup>nie</sup>bykami z dużych odległości siano i opał /trzcinę/ z wyschniętego jeziora. Obowiązywała mnie sowiecka zasada "kto nie robotajet, tot i nie kuszajet". Po około 10 dniach wezwał mnie do kantoru /biura/ Predsidaciel i przekazał mi straszną wiadomość - w szpitalu zmarła nasza mama. Co się działo ze mną po usłyszeniu tej strasznej i bolesnej wiadomości, nie jestem w stanie tego opisać. Predsidaciel Sowchozu pozwolił mi wołami udać się do Kijałów, ażeby pochować mamę i w drodze powrotnej zabrać do domu siostry i bracia, którzy powracali do zdrowia.

Kiedy zgłosiłem się do szpitala i po załatwieniu koniecznych formalności, związanych z pobraniem zwłok mamy, ten sam dziadek-stróż, który pomagał mi kiedy przywoziłem mamę i rodzeństwo do szpitala, zaprowadził mnie do kostnicy po zwłoki mamy. Kostnica mieściła się w szopie - wiacie bez ścian, wewnątrz kostnicy na półkach leżała duża ilość trupów ludzkich - dorosłych i dzieci, przykrytych prześcieradłami i z karteczkami przywiązanymi do nóg, na których były nazwiska zmarłych.

(Dziadek - stróż odszukał zwłoki mojej mamy - odsłoniłem przykrytą głowę i ujrzałem twarz mamy - miała kolor niebieskoczarny /tak mi się wydawało/, a głowa była całkowicie ostrzyżona, ciało mamy było zmarznięte na kość. Straszny i bardzo dla mnie bolesny widok całkowicie sparaliżował mój umysł - stałem obok martwej mamy i nie wiedziałem, co mam robić.)

(Dziadek-stróż spostrzegł i zrozumiał moją bezradność i rozpacz i oświadczył, że pomoże mi pochować moją mamę. Zabraliśmy łopaty i kilofy, ciało mamy ułożyliśmy na ręcznych sankach i razem udaliśmy się na miejsce w stepie, gdzie leżała w ziemi pochowana nasza Janka. Po dokopaniu się do ziemi /leżał śnieg powyżej jednego metra grubości/, nie pomogły kilofy i nasz wysiłek - ziemia była mocno zmarznięta i nie było żadnej możliwości wykopania mogiły. Dziadek-stróż, który miał w tych sprawach doświadczenie, poradził mi, żeby ciało mamy zakopać w śnieżnym dole, a na wiosnę, kiedy ziemia będzie miękka, wykopać właściwy grób, i w ziemi pochować mamę. Posłuchałem Dziadka, tym bardziej, że zapadał zmrok i zanosило się na buran.

Wróciliśmy do szpitala, gdzie Dziadek dał mi skromny posiłek i pozwolił przenocować w Jego stróżówce. Dziadek doradził mi, ażeby



nie mówił o śmierci mamy młodszemu rodzeństwu - braciom i siostram, gdyż będzie to dla nich bardzo bolesny szok. Wiadomość o śmierci mamy dla rodzeństwa lepiej będzie jak przekażę po kilku miesiącach, lżej to przeżyją, gdyż czas robi swoje. Posłuchałem dobrą radę Dziadka, który jednocześnie opowiadał mi krótko o sobie; jest z pochodzenia Polakiem, do 1937 roku zamieszkiwał wraz z żoną i dziećmi na Białorusi, niedaleko granicy polsko-sowieckiej. W 1937 roku został wraz z rodziną zesłany na Sybir, wszyscy z rodziny zmarli, jest sam jak palec, pracuje i mieszka w szpitalu. Bardzo mnie współczuł i szczerze pocieszał. Na zajutrz zgłosiłem się do lekarza po odbiór mego rodzeństwa. Nie mogłem poznać sióstr i braci - byli bardzo chudzi i ostrzyżeni, na mój widok bardzo się ucieszyli, lecz szczególnie Jadzia dopytywała się gdzie jest mama - mówiła, że kilka dni temu odwiedzali mamę, która leżała w innej sali, a teraz nikt im nie chce powiedzieć, dokąd zabrano mamę. Postąpiłem, jak doradził mi Dziadek i powiedziałem rodzeństwu, że mamę przeniesiono do innego szpitala, gdzie będzie leczona przez długi okres, ponieważ jest bardzo chora. Wraz ze zwolnionymi ze szpitala braćmi i siostrami, wołami powróciliśmy do Sowchozu.

Jadzia miała prawie 12 lat i dobrze wiedziałem, że teraz po śmierci mamy cały ciężar utrzymania młodszego rodzeństwa spadł na mnie i na Nię i dlatego zaledwie po kilku dniach powiedziałem Jadzi o śmierci mamy, prosząc, ażeby nie mówiła młodszemu rodzeństwu. Z niecierpliwością czekałem na nadejście wiosny, ażeby móc pochować mamę, której zwłoki leżały pod śniegiem.

Przy końcu kwietnia, kiedy śnieg prawie roztopniał, pojechałem do Kijałów i w znajomym mi polu stepowym odnalazłem zwłoki naszej mamy - leżała na ziemi, była cała czarna, a na ciele gdzieś niegdzie leżały płaty śniegu. Szybko, jak tylko mogłem, z wielkim trudem wykopałem dół - mogiłę, gdzie pochowałem mamę.

Byłem głodny i bardzo zmęczony i kiedy siedząc obok świeżej mogiły mamy, przypomniała mi się smutna sieroca piosenka, którą często śpiewali sieroty - złodziej z gangu "Atamana" i Jarki w czasie *mojego* pobytu z nimi w Pietropawłowsku latem 1941 r., kiedy wyruszyłem na poszukiwanie ojca:

"~~P~~azabyt, p~~o~~zabroszen z maładych junnych let,  
sam astałsa siratoju, szczaścīa doli mnie niet,  
Wot umru ja, pacharoniat mienia  
i rodnyje nie uznajut, gdzie mogliła maja.

I nie kto nie uznajet i nie kto nie prydziot,  
tolko namu wiesnoju saławiej zapajot".

Słowa tej sieroczej piosenki pod każdym względem odpowiadały bezna-  
dziejnej sytuacji, w jakiej znalazłem się ja wraz z małym rodzeństwem  
- zostaliśmy całkowitymi sierotami z trudną do przewidzenia dolą  
i przyszłością.

Odwiedziłem w szpitalu Dziadka - stróża, któremu serdecznie  
podziękowałem za wszystko, co dla mnie i mego rodzeństwa uczynił,  
w tak trudnej dla nas sytuacji. Z różnymi myślami w głowie pieszo  
powróciłem do domu do mego rodzeństwa.

Był to jeden z najtrudniejszych i najtragiczniejszych momentów naszego  
bytowania na zesłaniu - zostaliśmy sami: 4-ro letnia Tereska, 5-cio  
letnia Danusia, 3-mio letni Kazik, 9-cio letni Staszek, 12-to letnia  
Jadzia i niespekna 16-to letni ja. Na mnie i na Jadzię spadł najwię-  
kszy obowiązek utrzymania przy życiu młodszego rodzeństwa. A przecież  
sami również byliśmy jeszcze dziećmi, szczególnie Jadzia, która mu-  
siała zastąpić zmarłą mamę, a ja musiałem czynić wszystko, co było  
w ludzkiej i mojej mocy, ażeby uchronić młodsze rodzeństwo przed gło-  
dową śmiercią, która co raz częściej zaglądała nam w oczy.

## ROZDZIAŁ VI

Po śmierci mamy najbardziej obawiałem się odebrania mi młod-  
szego rodzeństwa i wywiezienia Ich do sowieckiego Domu Dziecka /Dzie-  
ddomu/. Dobrze pamiętałem i widziałem los i poniewierkę małych dzieci  
z Dzieddomu, z którymi spotkałem się w dziecięcym, złodziejskim gangu  
bandzie w Pietropawłowsku. Byłem naocznym świadkiem bezwzględного  
postępowania władz sowieckich, którzy siłą zamierzali umieścić w so-  
wieckim Dzieddomie Anię Jan<sup>o</sup>czenie po śmierci babci. →  
Trafienie do Dzieddomu, oznaczało całkowitą rusyfikację i zamknięcie  
na zawsze drogi powrotu do Polski. Ta myśl stale mnie martwiła, gdyż  
chciałem być razem z rodzeństwem.

Po pewnym czasie niespodziewanie wezwał mnie do kantora Pred-  
siedaciel Sowchozu i w obecności obcej kobiety powiadomił mnie, że  
władze zdecydowały zabrać mi najmłodszych siostry i braci tj. Tereskę,  
Danusią, Kazika i Staszka i umieścić w sowieckim Dzieddomie, zapew-  
niając, że będzie Im dobrze, a władza sowiecka zaopiekuje się nimi



i wychowa na dobrych obywateli Związku Sowieckiego. Zaznaczył, że obecna kobieta odwiezie moje rodzeństwo do Karagandy do Dzieddomu a mnie polecił przygotować siostry i braci do podróży. Decyzja władz sowieckich bardzo mnie zmartwiła, lecz jednocześnie bardzo mnie <sup>wz-</sup>burzyła. Powiedziałem sobie - braci i siostry nie oddam do Dzieddomu i kazałem, ażeby wszyscy schowali się w gęstym piołunie, który rósł niedaleko naszej ziemianki. Przestraszeni razem z Jadzią ukryli się, jak<sup>im</sup> poleciłem. Po dość długim oczekiwaniu przyszedł do ziemianki Przedsiadaciel wraz z ~~obcą~~ obcą kobietą, którym oświadczyłem, że nie wiem gdzie znajdują się bracia i siostry. Przedsiadaciel wściekły, widocznie odgadł moją decyzję ukrycia rodzeństwa, oświadczył, że jeżeli nie wydam dobrowolnie, to zabiorą siłą. Jadzia wraz z rodzeństwem przesiadziała w zaroślach piołunu całą noc, aż wyjechała z Sowchozu obca kobieta. Po tym <sup>13</sup>zdarzeniu pouczyłem i nakazałem braciom i siostrom, że z chwilą pokazania się na terenie Sowchozu obcej osoby, mają natychmiast chować się w zaroślach. Po upływie kilku miesięcy ponownie próbowano zabrać moje siostry i bracia, lecz dzięki stałej czujności Jadzi oraz pomocy sąsiadów Polaków, udało się ukryć ich przed grożącym niebezpieczeństwem. Natomiast zimą 1944/45 roku kiedy również usiłowano zabrać rodzeństwo do Dzieddomu, to nie mogli tego uczynić, gdyż z powodu braku odzieży i obuwia Tereska, Danusia, Kazik i Staszek, siedzieli prawie nędzy w ziemiance - nagich małych dzieci nie odważyli się siłą zabrać z ziemianki. W ten oto sposób, wspólnie z Jadzią uchroniliśmy rodzeństwo przed Dzieddomem.

Wczesnym latem 1944 roku poszczęściło mi się - brygadzysta powierzył mi nową pracę: <sup>bum</sup> [wyznaczył] wspólnie ze sprzedawczynią dwa razy w tygodniu dowozić z Kijałów do Sowchozu chleb przeznaczony na przydział dla robotników. Do wożenia chleba zostałem wyznaczony na miejsce mego kolegi - Rosjanina Kolki Rabcowa, którego sprzedawczyni wypędziła za ciągłą kradzież chleba. Do moich obowiązków należało - wieczorem załadować drabiniasty wóz słomą i wczesnym rankiem wołami razem ze sprzedawczynią <sup>zawieszę do Kijałowa</sup> dwa razy w tygodniu dostarczyć do Sowchozu chleb. Przed pierwszym wyjazdem spotkałem się z Kolką, który przekazał mi tajemnicę, jak należy podkraść chleb, jednocześnie opowiedział jak On został przyłapany na kradzieży. W czasie jazdy z chlebem ukradkiem przed sprzedawczynią połykał w kawałkach jeden lub dwa bochenki chleba, następnie w domu po odpowiednim zabiegu palcem w gardle, wymiotował - zwracał nie całkowicie przetrawiony w żołądku chleb (miazgę z chleba), którą sprawiedliwie dzielił dla swego licznego ro-

dzeństwo. Pewnego dnia nie wytrzymał i wymiotował chlebem w obecności sprzedawczynie, która w ten sposób wykryła sposób ciągłego braku jednego lub dwóch bochenków chleba i na zbity łeb wyrzuciła Kolkę - połykacza chleba. Ja sztuki połykania i zwracania chleba nigdy nie opanowałem, lecz wskazówki Kolki bardzo mi się przydały.

Kolka był biedny tak jak ja, miał liczną rodzinę - małego rodzeństwo i matkę kalekę i w ten sposób ratowali się przed śmiercią głodową. Na koniec naszej rozmowy zaśpiewał mi następującą czastuszkę: "Kakda Lenin umirał, Stalinu przykazywał chleba ludziom nie dawaj, sała nie pakazywaj" oraz życzył mi "sukcesów" przy wykonywaniu nowej pracy.

W przydziałowy chleb - pajak, zarówno dla naszego Sowchozu jak i dla innych Sowchozów mieszczących się wokół stacji kolejowej Kijały, zaopatrywała duża piekarnia znajdująca się w miejskiej części Kijałów. Warunkiem otrzymania chleba - był obowiązek dostarczenia opału - słomy lub trzciny. Ja do nowej pracy przygotowałem się jak tylko mogłem najlepiej, ażeby zrobić dobre wrażenie, szczególnie na sprzedawczynie, którą była miejscowa dziewczyna Nadzia Graż w wieku około 20 lat. W czasie pierwszego rejsu po chleb i powrotnego z chlebem Nadzia była zadowolona z mojej pracy, natomiast ja siedząc na wozie obok chleba przez całą drogę kombinowałem - w jaki sposób ukraść chleb. Jazda wołami trwała długo i pod wieczór, kiedy zbliżaliśmy się do Sowchozu, wyczułem sprzyjający moment i dwa bochenki chleba wyrzuciłem na trawę - w zarośla. Na miejscu w trakcie przeliczania Nadzia stwierdziła brak dwóch bochenków chleba - wiedząc, że ja nie mogłem ukraść, ponieważ przez całą drogę bacznie mnie obserwowała i wspólnie przeszukaliśmy wóz - uznała, że została oszukana przez magazynierów w piekarni, których na zapas obrzuciła wyzwiskami. Ja natomiast wieczorem, kiedy było ciemno, odnalazłem skradzione dwa bochenki chleba, które przyniosłem do domu. Była wielka radość - wszyscy dobrze sobie pojedli.

W czasie drugiego rejsu po chleb, Nadzia wyzywała magazynierów od najgorszych za to, że została oszukana - magazynierzy na miejscu zaklinali się na wszystko, że są niewinni i w końcu dali Nadzi dodatkowe dwa bochenki chleba - ja stałem obok z nią niewiniątka i obmyślałem inny sposób kradzieży chleba, z Nadzią nie było żartów, mogła mnie spotkać o wiele większa kara niż Kolkę - On był Rosjaninem, a ja Polakiem - wrogiem narodu.



Szybko zorientowałem się o możliwości skąbinowania [ ] kradzieży chleba na terenie piekarni od magazynierów, którymi w większości byli młode dziewczęta i starsze kobiety. W trakcie pobierania chleba z magazynów oszukałem magazyniera przy liczeniu lub ukradłem bochenek lub dwa, które ładowałem razem z chlebem, który należał się Nadzi, a po przyjeździe na miejsce do Sowchozu zniosłem do sklepiku Nadzi należną Jej ilość bochenków, a swoją dolę [ ] ukradziny od magazynierów chleb zabierałem sobie. )

Wszystko układało się bardzo dobrze - Nadzia chwaliła mnie za dobrą i sumienną pracę, a ja zdobytym chlebem dokarmiłem swoje wygłodzone rodzeństwo. Tylko magazynierzy często kłócili się między sobą z powodu brakujących bochenków chleba - na wzajem podejrzewali się o kradzież.

W miarę upływu czasu od śmierci mamy, młodsze rodzeństwo coraz częściej i z płaczem dopytywali się od Jadzi lub ode mnie - gdzie jest mama i dlaczego tak długo nie wraca do domu ze szpitala. Nie było wyjścia i nie mogliśmy razem z Jadzią dalej okłamywać młodszego rodzeństwa. Powiedziałem całą prawdę - nasza mama umarła w szpitalu i od kilku miesięcy leży w ziemi w Kijakach. Wszyscy mieli do mnie i do Jadzi pretensje i żal, że ich oszukaliśmy. Po kilku dniach płaczu i rozpaczki wszystko wróciło do normy, trzeba było pokonywać trudy codziennego życia, pomimo wielkiego nieszczęścia, jakie nas spotkało.

Młodsze rodzeństwo razem z Jadzią bardzo mnie prosili, ażeby mogli oni razem ze mną pojechać i zobaczyć miejsce, gdzie zostały pochowane mama i starsza siostra Janka. Nie mogłem odmówić - całą sprawę przedstawiłem Nadzi, którą poprosiłem, ażeby wyraziła zgodę na zebranie mego rodzeństwa, kiedy pojedziemy po chleb. " Nadzia z niechęcią, lecz w końcu zgodziła się. Do wyjazdu na grób mamy i Janki z wielkim przejęciem i zapałem przygotowali się wszyscy - Jadzia wspólnie z Danusią i Tereską uplotły z polnych kwiatów dwa duże i ładne wieńce, ja przy pomocy Olka Awdziejczyka wykonałem dwa drewniane małe krzyże (miałem wielkie trudności ze zdobyciem drewna). Do Kijaków wyjechaliśmy jak zwykle bardzo wcześnie, a na miejsce dojechaliśmy przy wyjątkowo ładnej pogodzie, było bardzo ciepło. Nadzia załatwiała różne sprawy w Gorzowiecu, a my wszyscy - cała szóstka, udaliśmy się na miejsce, gdzie spoczywały matka i Janka. Miejsce - grób, gdzie pochowałem mamę, odnalazłem bez trudu - była jeszcze świeża ziemia porośnięta rzadką trawą - wszyscy zabraliśmy

się do uporządkowania grobu, a po skończonej pracy ułożyliśmy <sup>na</sup> jeden <sup>na</sup> grobie mamy wieniec, drugi wieniec ułożyliśmy obok grobu mamy - jako symboliczne miejsce, gdzie spoczywała nasza Janka - wkopaliśmy <sup>tu</sup> dwa obok siebie krzyże. - wszyscy płakaliśmy i modliliśmy się.

Czas szybko upływał i musieliśmy wracać do piekarni, gdzie stał nasz wóz zaprzęgnięty w woły i czekała na nas Nadzia. Po załadowaniu chleba ruszyliśmy w drogę powrotną, w czasie której wszyscy - [całe moje rodzeństwo] byli wyjątkowo smutni, gdyż przeżywali swój pobyt w miejscu wiecznego spoczynku naszej mamy i Janki. Miejsce, gdzie pochowałem mamę i Jankę, niczym nie różniło się od rozległego stepu, a nasz wspólny pobyt na tym miejscu, był ostatnim pożegnaniem się z mamą i Janką. [w czasie naszego pobytu na zesłaniu].  
Za wszystko serdecznie Nadzi dziękowałem.

Moją pracę przy wożeniu chleba zaliczam do najprzyjemniejszych [prac], jakie zmuszony byłem do wykonywania podczas pobytu na zesłaniu. Była dość ciężka, bardzo niebezpieczna /groziła wpadką przy kradzieży chleba/, lecz dawała możliwość dokarmiania stale głodującego rodzeństwa. Nadzia Graż, z którą pracowałem, była dobrą dziewczyną - pomimo różnych nieprzyjemnych przeżyć [życiowych], była stale wesoła, co również i mnie się udzielało.

Jednocześnie w swoim zachowywaniu się była często zmienna. Podczas jednego dnia śmiała się, śpiewała, <sup>dużego</sup> przeklinała i często płakała, szczególnie kiedy wypijała z piekarzami samogonu. Do dzisiaj pamiętam jedną z jej "czastuszek", którą bardzo często śpiewała:

"Ja idu, idu, stanu i padumaju,  
u niewo żena i dzieci, czto ja dura dumaju".

W życiu często tak bywa, że <sup>to</sup> dobre to szybko mija - podobnie było z moją pracą przy wożeniu chleba, którą wykonywałem zaledwie i aż trzy miesiące. Pewnego dnia, niespodziewanie zostałem wezwany do "Predsiedaciela" Sowchozu, który wręczył mi powołanie do odbycia ogólnowojskowego przeszkolenia - zostałem zakwalifikowany i wyznaczony jako przedpoborowy, miałem wówczas niespełna 16 lat. Usiłowałem prosić "Predsiedaciela" o odroczenie ze względu na małe rodzeństwo itp. Nic nie wyszło - zamiast odroczenia, "Predsiedaciel" zagroził mi wojskowym trybunałem za uchylanie się od obrony Związku Sowieckiego. Ucieszyło mnie tylko to, że wraz ze mną otrzymał podobne powołanie mój najlepszy kolega - Olek Awdziejczyk oraz trzech chłopaków - Kazachów, z którymi również przyjaźniłem się.



Nie powołano żadnego Rosjanina, gdyż prawie wszyscy uczyli się w szkole. Powołanie na przeszkolenie wzbudziło u mnie obawę o moje młodsze rodzeństwo, <sup>martwiłem się, że mnie ~~powołają~~ <sup>zabiorą</sup> na przeszkolenie</sup> a siostry i braci zabiorą do Dzieddomu. Przed wyruszeniem na przeszkolenie, Jadzie prosiłem i nakazywałem, ażeby chroniła młodsze rodzeństwo, tak jak czyniła to dotychczas.

Cała nasza piątka, którą powołano na ~~przeszkolenie~~ ogólnowojskowe przeszkolenie - ja, Olek oraz Kazachowie Karauł, Kadyl i Mubarak, po pożegnaniu się z rodzeństwem, pieszo dotarliśmy do Kijałów, gdzie zgłosiliśmy się w miejscowym Wojenkomacie, dokąd, podobnie jak my, zgłosili się powołani chłopcy z różnych miejscowości - Kołchozów, Sowchozów, Aułów i Pasiołków. Wszyscy ~~prze-~~ <sup>razem</sup> racowaliśmy na tarawie obok wojenkomutu. Na ~~zajutrz~~, po przeprowadzeniu sprawdzenia oraz szczegółowego spisu, wydano każdemu po bochenku chleba (około 600 gram), kawałek cukru, po kilka surowych ryb i w zwartej kolumnie ruszyliśmy pieszo do miejsca naszego przeznaczenia.

Wszystkich razem było nas około 140 chłopców - przeważnie ubranych w łachmany i boso. Razem z nami było 5-ciu oficerów - czterech mł. lejcinantów /chorążych/ i kapitan o sztywnej nodze, mł. lejcinanci szli pieszo razem z nami, a kapitan konno jechał z tyłu za kolumną.

Na miejsce przeznaczenia dotarliśmy nocą - wszyscy byli bardzo zmęczeni, gdyż przeszliśmy przeszło 30 kilometrów. Spaliśmy na trawie do nadejścia dnia. Miejscem, gdzie mieliśmy przejść przeszkolenie, był duży kołchoz, w którym mieszkali w większości starsze kobiety i dzieci - mężczyźni byli na wojnie.

Na miejscu zostaliśmy podzieleni na 4 plutony i zakwaterowani w dwóch dużych szopach - chlewach. Dowódcą całości /kompani/ był kapitan, a mł. lejcinanci dowódcami plutonów. →  
Ja razem z Olkiem, zostaliśmy przydzieleni do tego samego plutonu i drużyny. Na pierwszej zbiórce kapitan poinformował wszystkich, że przeszkolenie będzie trwało około 40 dni, w czasie których będziemy pracować przy sianokosach i żniwach, ażeby zarobić na wyżywienie oraz szkolić się w rzemiośle wojskowym, ażeby być gotowym do walki z niemieckimi faszystami.

Każdemu plutonowi dla celów szkoleniowych został przydzielony jeden prawdziwy karabin bojowy /wintowka z bagnetem/, jeden RKM i cztery granaty, natomiast wszyscy - cała kompania - otrzymała do indy-

widzialnej dyspozycji drewniane "karabiny" - maczugi jako imitacja prawdziwego karabinu. Każdemu przyznano frontowy pajak - 600 gram chleba, raz w tygodniu po paczce machorki "kryszalki", po kawałku cukru oraz trzy razy dziennie posiłek /zupa - szczy, kasza na gęsto i na rzadko, bardzo słone śledzie/.

Dla mnie, kiedy w Sowchozie otrzymywałem tylko 200 gram chleba i czasami garnuszek zupy, otrzymywany frontowy "pajak" był rajem na ziemi, nigdy w jednym dniu nie otrzymywałem tyle jedzenia. Kilka razy dawano pół litra wódki na sześć osób.

Zaczął się nasze ogólno-wojskowe przeszkolenie. Od godziny 6 rano do 14-tej pracowaliśmy na kolchozowym polu przy sianokosach i żniwach, od godziny 14-tej do 15-tej przerwa obiadowa, a dalej do późnych godzin wieczornych, poznawaliśmy rzemiosło wojskowe - praktyczne poznawanie konstrukcji i działania karabinów i granatów, walka wręcz oraz musztra z drewnianymi "karabinami" itp.

Dano nam możliwość wyboru przydziału do poszczególnego plutonu - więc w sposób naturalny do dwóch plutonów zostali przydzieleni prawie sami Rosjanie, a do pozostałych dwóch cała reszta - Kazachowie, Tatarzy, Niemcy z nad Wołgą, Czeuńcy, Inguszy i my, Polacy, tj. ja i Cłek. Spaliśmy w dwóch chlewach - stodołach na klepisku. Raz na 10 dni mieliśmy wolne /wychodnoj/ prawie wyłącznie do własnej dyspozycji.

Ja ciągle myślałem o swoim rodzeństwie, ciągle obawiałem się, że zostaną zabrane do Dzieddomu. W kolchozie, gdzie kwaterowaliśmy się, poznałem kilka polskich rodzin - zesłańców - z 1937 r., których w wolnych chwilach razem z Olkiem odwiedzaliśmy.

Żyło mi się nie najgorzej, pomimo bardzo ciężkiej pracy intensywnego szkolenia wojskowego. Dostawałem 600 gram chleba, machorkę, więc pomyślałem, jakby pomóc rodzeństwu, które głodowało w Sowchozie. Za machorkę w ramach wymiany z nałogowymi palcami, otrzymałem dość dużo chleba, który wysuszyli mi na suchary zapoznani Polacy, zebrałem trochę cukru, suszonej ryby i podjąłem za zgodą i wiedzą drużynowego /któremu oddawałem swoją wódkę/ ryzykowną decyzją. Przed dniem wolnym, ukradkiem wymknąłem się z miejsca zakwaterowania i szybkim krokiem ruszyłem do Kijałów, gdzie dotarłem o północy. Z Kijałów bardzo często przejeżdżały pociągi towarowe po węgiel do Karagandy, a tory - szlak kolejowy, przebiegały o kilka kilometrów od naszego Sowchozu - to było bardzo mi na rękę, z Kijałów pociągiem



i przed świtem byłem w domu. Moja nieoczekiwana wizyta zaskoczyła i bardzo ucieszyła rodzeństwo, szczególnie na widok sucharów, cukru i suszonej ryby. Z rodzeństwem przebywałem przez cały dzień; do zmierzchu nie wychodziłem z ziemianki. <sup>Byłem</sup> ucieszony, że wszystko jest w porządku, a Jadzia skutecznie chroni młodsze rodzeństwo przed zabraniem do sowieckiego Dzieddomu. O zmierzchu pieszo do pociągu, pociągiem do Kijażów, ~~z~~ <sup>z</sup> ~~gdąd~~ pieszo do kołchozu tj. miejsca naszego postoju.

Wypadu z kołchozu, gdzie odbywałem przeszkolenie, do rodzeństwa dokonałem dwukrotnie, a w czasie nocnego marszu stępową drogą, ażeby szybciej minął czas i prędeż dotrzeć do celu, liczyłem skłupy telegraficzne - do dzisiaj pamiętam, było ich ~~na~~ na mojej drodze prawie 400 szt.

Oprócz szkolenia wojskowego oraz pracy na kołchozowych polach, dowódca kompanii - kapitan, przeprowadzał z nami pogadanki polityczne, w czasie których chwalał zwartość i wzajemną miłość narodów zamieszkujących Związek Sowiecki. <sup>W</sup> krótkim czasie widziałem i przekonałem się, jak naprawdę wyglądała ta miłość. <sup>Wśród</sup> W czasie wspólnego pobytu na przeszkoleniu <sup>chłopaków</sup> o różnej narodowości, bardzo często dochodziło do kłótni, wyzwisk i bijatyk, inicjatorami tych awantur byli przeważnie Rosjanie, którzy obrażali, ośmieszali, a nawet bili chłopaków innej narodowości - szczególnie Kazachów, <sup>każdy</sup> czekał <sup>na</sup> okazji, ażeby zemszczyć się za krzywdy.

Na zakończenie naszego przeszkolenia <sup>z</sup> zostało przeprowadzone ćwiczenie zbliżone do warunków bojowych. Dwa plutony, w <sup>których</sup> byli przeważnie Rosjanie jako "czerwoni", okopali się w obronie, natomiast dwa pozostałe plutony, składające się z Kazachów i całej reszty (w tym ja i Olek) jako "biali" mieli za zadanie w natarciu atakować okopanych "czerwonych".

Z początku wyglądało to na zwykłą zabawę - "czerwoni" strzelali, a my tj. "biali" skokami na przód atakowaliśmy "czerwonych". Kiedy nastąpiło spotkanie atakujących z broniącymi się, zabawa w wojnę skończyła się.

Poszły w ruch drewniane "karabiny", którymi na wzajem zaczęliśmy się okładać, do tego stopnia, że zaczęła się prawdziwa bijatyka - "wojna" pomiędzy "czerwonymi" i "białymi", która została przerwana dopiero po kilkakrotnym oddaniu strzału w górę z pistoletu przez kapitana. Prawie wszystkie drewniane "karabiny" zostały połamane, a większość uczestników bijatyki mieli <sup>ata</sup> guzy na głowie, posiniaczone palce i nogi.

Była to prawdziwa lekcja pogładowa braterstwa i przyjaźni Rosjan i chłopców innej narodowości, na zakończenie przeszkolenia wojskowego. [Przy okazji zostały odplacone i wyrównane poniżenia i krzywdy, jakich doznaliśmy ze strony Rosjan.]

Po zakończeniu szkolenia, pieszo lecz już w regularnym szyku i ze śpiewem powróciliśmy do Kijałów, gdzie w wojenkomacie wydano każdemu zaświadczenie o pomyślnym przejściu przedpoborowego ogólnowojskowego przeszkolenia. Cała nasza piątka - ja, Olek, Karnuż, Kadył i Hubarek powróciliśmy do Sowchozu.

[Mnie najbardziej ucieszyło to, że wszyscy byli w domu - ziemiance, a Jadzia z wielkim poświęceniem, determinacją i przy pomocy naszych sąsiadów - polskich rodzin, uchroniła młodsze rodzeństwo przed sowieckim Dzieddomem. Po krótkiej jesieni szybko zbliżała się zima 1944/45 roku, która była wyjątkowo mroźna i najbardziej dla nas tragiczna w okresie dotychczasowego naszego pobytu na zesłaniu.] *uzupełnia.*

## ROZDZIAŁ VII

Podczas dotychczasowego naszego pobytu na zesłaniu, przeżyliśmy i doznaliśmy wiele dolegliwości, cierpień i poniżenia. Z wyciężenia i ciężkiej pracy, zmarła nasza starsza siostra i mama, egzystowaliśmy na pograniczu życia i śmierci, lecz najbardziej odczuwaliśmy i przeżywaliśmy - ciągle choroby, brak odzieży i obuwia, robactwo /wszawica/ połączone z brakiem minimalnych warunków higienicznych, chłód i stosowanie barbarzyńskich kar oraz wyjątkowy głód.

Dwustronne zapalenie płuc, na które chorowałem w pierwszych latach naszego zesłania, było pierwszą chorobą, która o mało nie zakończyła się moją śmiercią. W następnych latach stan zdrowotny z powodu braku jakiejkolwiek opieki lekarskiej stale się pogarszał. W krótkim czasie zachorowałem na malarię, trzęsła mną początkowo raz w tygodniu a następnie każdego dnia. Latem, które było tam wyjątkowo upalne, w czasie ataku malarii nie mogłem znaleźć sobie miejsca było mi bardzo zimno, a następnie niesamowicie gorąco. Po przebytym ataku malarii, byłem bardzo osłabiony, lecz musiałem powracać do pracy.



Z powodu braku witamin, przez cały czas prześladował mnie szkorbut - ciągle krwawiły dziąsła i wydawało się, że wylatują wszystkie zęby. Wyjątkowo dokuczliwa była "kurza ślepotą" - kiedy napadła w pracy, byłem ślepy i z trudem wracałem do domu, najczęściej atakowała przed wieczorem, kiedy byłem najbardziej przemęczony. Co pewien czas na ciele - przeważnie na nogach i ramionach powstawały wrzody, nazywaliśmy to chorobą "cyngą", na którą nie było żadnego lekarstwa. Nigdy nie powracali do normalnego zdrowia. Młodsze rodzeństwo - ciągle chorowało na biegunkę, dyfteryt, żółtaczkę oraz - ciągle byli przeziębieni - zakatarzeni i stale kaszlące. Nasza mama, która tyle wycierpiała i miała bardzo zły stan zdrowia, nie miała czasu i nie mogła chorować - przede wszystkim troszczyła się i ratowała nas wszystkich.

Nasze cierpienia z powodu złego stanu zdrowia i ciągłych chorób nie interesowały miejscowych władz - byliśmy skazani wyłącznie na siebie.

W początkowym okresie naszego zesłania, w zasadzie mieliśmy jeno odzież i obuwie, lecz absolutnie nie nadawało się ono do używania podczas długotrwałej i bardzo mroźnej syberyjskiej zimy. Po dwóch zimach wszystko, co przywieźliśmy z Polski, i w które ubieraliśmy się w świątki i piątki uległo zużyciu - byliśmy ubrani w łachmany, które nie nadawały się do naprawy, do tego nie mieliśmy i nie było gdzie kupić ani igły, ani nici.

Wówczas wiosną i późną jesienią, często po śniegu chodziłem na bosaka, a stare i zużyte walonki, które kupiła mi mama, ciągle rozpadały się i wymagały naprawy. O nowych walonkach, w których można było pracować podczas mroźnej zimy, mogłem tylko marzyć - były one dla nas nieosiągalne. Mundur, który otrzymałem w polskim ośrodku informacyjnym w Świerdłowsku podczas poszukiwania ojca, bardzo oszczędzałem, lecz w końcu i on uległ niszczeniu.

Pamiętam, po śmierci mamy, kiedy mój porwany mundur wymagał naprawy, a ja nie miałem igły i nici - znalazłem cieniutki drut /z cewki dynamy/, którym na okrętce pozszywałem podarte spodnie, lecz nie wiedziałem, co mam zrobić z końcem druta - który kłuł mnie boleśnie w różne części ciała. Podobnie po pewnym czasie nie mieliśmy prawie żadnej pościeli - część mama musiała wymienić na żywność, a reszta uległa zużyciu. Po pewnym czasie spaliśmy bez żadnej pościeli w swojej ziemiance, zakopani i przykryci sianem lub skórą. W czym chodziliśmy, też spaliśmy na klepisku, a najmlodsze rodzeństwo na pryczy.

Miejscowe władze gnali nas do różnych ciężkich prac o każdej porze roku, żądali wykonywania nałożonej wysokiej normy - lecz absolutnie nie troszczyli się o odzież i obuwie, które były dla nas bardzo potrzebne, ażeby móc pracować. Młodsze rodzeństwo - Danusia, Teresa i Kazik latem chodzili prawie nago, a przez całą zimę nago siedzieli w naszej ziemiance.

Z powodu braku środków czystości, a szczególnie mydła, od samego początku naszego pobytu na zesłaniu, zmagaliśmy się z brudem i robactwem /wszami/. Dopóki żyła ~~była~~ Janka i mama, robili wszystko, ażeby utrzymać minimalne warunki higieniczne - z piokunu po wygotowaniu przyrządzali jakiś wywar /lug/, w którym prali naszą odzież i pościel. Po śmierci mamy dzień i noc, w ziemiance i w polu prowadziliśmy beznadziejną wojnę z wszami. Pamiętam, jak w okresie lata podczas jazdy i pracy z wołami, trudno było wytrzymać ciągłych *bolezących* ukąszeń /ukłuć/wszy, które nie tylko gryzły, lecz spokojnie pełzały po głowie, ciele i ubraniu.

Zatrzymałam w stepie woły, rozbierałam się do naga, a zawszone ubranie kładłam na kamień, a drugim kamieniem tłukłam wielkie i wypasione moją krwią wszy oraz białe gnidy, których było wyjątkowo dużo na szwach odzieży. Po krótkim okresie względnego spokoju, wszy ponownie mnożyły się i gryzły - kłuły, gdzie się tylko dało.

Zimą 1944/45 roku kiedy przy bardzo silnym mrozie wiozłam siano, z przemarznięciem zaczynałam zasypiać i wówczas poczułam pod pachą silne ukłucie głodnej wszy - raptownie ~~zmarłam~~ *zmarłam* się ze śmiertelnego snu i poczułam, że zaczynałam zamarzać. W tym czasie w duchu dziękowałam wszy za to, że ukłuciem uratowała mnie przed zamarzeniem. Szczególne ciężkie życie i przeprawę z wszami miała Jędzia, kiedy bronila - oczyszczała z wszów młodsze rodzeństwo. Każdą wolną chwilę poświęcała na wojnę z wszami. Grzebieniem, który miał zaledwie kilkanaście zębów /większość ułamała się/, stała aż do krwi cześć głowy rodzeństwa. Wszy i inne robactwo /karaluchy/ dokuczały wszystkim mieszkańcom Sowchozu - Paiołka, gdyż wszyscy z powodu braku podstawowych środków czystości, wobec plagi wszów byli bezradni. Miejscowa władza nic nie byli w stanie uczynić, ponieważ wojna z wszami była nie do wygrania. Wszy i ciągła wojna z nimi stanowiły część składową naszego życia i były "wmontowane" w cały sowiecki system.



Zesłano nas do Sowchozu - Pasiokka, położonego w gołym stepie, odległość do najbliższych lasów wynosiła około 300 kilometrów, z tego też powodu byliśmy pozbawieni opaku. W okresie długotrwałej i bardzo mroźnej zimy, która zaczynała się w październiku, a kończyła się w kwietniu, nie mieliśmy czym ogrzewać naszą ziemiankę - norę. Mrozy dochodziły do 50°, a opalanie skórą nie dawało żadnego rezultatu - trzeba było palić w piecu dzień i noc, spalało się dużo skóry, z której było dużo popiołu i dymu, przy którym trudno było wytrzymać w ziemiance. Podczas kiedy ja, mama i Janka /przed śmiercią/ musieliśmy pracować, paleniem w piecu zajmowali się na zmianę Kazik i Staszek. Kiedy nie było czym palić, w ziemiance było bardzo zimno - zamarzała woda w garnkach, a na ścianach i klepisku ziemianki tworzył się śnieżny szron. Brak było szyb w jednym oknie - które zatykaliśmy szmatami, mroz wdzierał się do naszej ziemianki oknem i drzwiami. Podczas snu zawsze ktoś musiał czuwać, ażeby we śnie nie zamarzkł młodsze rodzeństwo. W czasie buranu /mroźnej śnieżycy/, który przeważnie trwał przez kilka lub kilkanaście dni i nocy, nie wychodziliśmy z ziemianki w obawie przed zabłądzeniem i zamrożeniem. Cała ziemianka była zasypała śniegiem i ażeby wyjść z niej po ustaniu buranu, trzeba było kopać w śniegu długie tunele. Silne mrozy i burany nie zwalniały nas od przymusowej pracy. W bardzo lichym ubraniu i w owiniętych szmatami trzewiakach lub dziurawych walonkach od rana do późnego wieczora pracowaliśmy przy różnych pracach. Ja najczęściej jeździłem wożami w step po siano, a podczas jazdy, nie było mowy o siedzeniu na saniach - trzeba było być w ciągłym ruchu - biegać, skakać itp. Z zimna sztywniały ręce i nogi, bardzo często odmrażałem uszy, policzki, palce u rąk i nóg. Skutki odmrożeń dają znać o sobie do dnia dzisiejszego.

Przed zamrożeniem w czasie długotrwałej i mroźnej zimy broniliśmy się sami - władza sowiecka nie martwiła się i było im obojętne, jak bardzo cierpieliśmy - Oni mieli nowe walonki i ciepłe kożuchy.

Na początku naszego pobytu w Sowchozie - Pasiokku, Przedsiębiorca Jaroszenko w czasie spotkania z polskimi rodzinami, z naciskiem powiedział, że praca w Związku Sowieckim jest obowiązkiem i jeżeli będziemy uchylać się od pracy, to do wykonywania tej pracy zostaniemy zmuszeni /nie chcesz rabotać, to zastawiaj/. Przez cały czas naszego pobytu na zesłaniu, zasada ta była ściśle egzekwowana, a w stosunku do tych, co z różnych usprawiedliwionych powodów nie byli

w stanie pracować lub wykonać ustalonej wysokiej normy - stosowano bardzo dokuczliwe kary.

Wam, Polakom, przydzielono najgorsze i najcięższe prace - przy przebieraniu na mrozie zgnitych ziemniaków, wybieraniu i wywożeniu taczkami gnoju /z pod byka, całodziennej pracy przy maszynie oczyszczającej pszenicę /kręcenie korbą wiejskiej/ oraz przy innych ciężkich pracach. Brygadzista zawsze oszukiwał nas przy rozliczaniu nałożonej normy - w czasie pracy stale podnosił i zwiększał normę, w rezultacie trudno było wykonać taką normę. Za niewykonanie normy zmniejszano przydział chleba /pajku/ lub przedłużano czas pracy, aż norma będzie wykonana, o każdej porze dnia i nocy.

Szczególnie w barbarzyński sposób karano nas, jeżeli mama lub ja z powodu choroby nie mogliśmy stawić się do pracy. Za takie "przewinienie" w okresach wiosny, lata lub jesieni, siłą ładowano na wóz cały nasz dobytek i całą rodzinę wywożono w goły step, na odległość kilkunastu kilometrów od Sowchozu. W stepie zostawiano nas samych aż do chwili przyłączenia, że zawsze będziemy pracować i nie opuścimy żadnego dnia. Była to fizyczna i psychiczna tortura i dopiero po takiej "samokrytyce" pozwolano nam powrócić do sowchozu, do naszej ziemianki. Taką karę dwukrotnie zastosowano wobec rodzin naszej oraz Noskowieców. W ten sposób oprawcy bolszewicy zmuszali nas do wykonywania niewolniczej pracy. Nie było komu poskarżyć się. Jedyne modliliśmy się do Pana Boga.

Ciągły głód, jaki cierpieliśmy podczas naszego przymusowego pobytu w Sowchozie, był najstraszliwszym przeżyciem dla nas wszystkich. Podczas głodu, największym pragnieniem każdego z nas było - znaleźć, zdobyć lub ukraść za wszelką cenę, wszystko to, co można było zjeść. Wszystkie przedmioty, jakie przywieźliśmy ze sobą z Polski, nasza mama zmuszona była wymieniać na żywność - często wartościowe rzeczy /kilim i inne/ wymieniała za kilka wiaderek ziemniaków lub za woreczek mąki. Miejscowi mieszkańcy, a szczególnie posłanie miejscowej władzy, wiedzieli o naszych trudnościach żywnościowych i dlatego przy każdej okazji - transakcji, zdzierali z nas ostatnią skórę. Widno głodowej śmierci zmuszało nas do różnego sposobu zdobywania jakiegokolwiek żywności, a często do chwytania się ostatniej deski ratunku. Z nadejściem każdej wiosny - wszyscy kto był w stanie znaleźć trochę wolnego czasu, wyruszaliśmy na pole i zbieraliśmy kłosa pszenicy, z której mama po wysuszeniu i przetarciu na żarnach piekła czarne, bardzo gorzkie lecz wyjątkowo smaczne placki.



Z nadejściem lata szukaliśmy i zrywaliśmy pokrzywę, szczaw, mlecz, lebiodę oraz inne ziele, z których gotowała mama zupę i inne "przysmaki".

Dla zdobycia lepszych artykułów do jedzenia, trzeba było kraść. W Sowchozie kradli wszyscy, lecz przeważnie udawali, że nikt nic nie wie, każdy kradł i w razie złapania ponosił odpowiedzialność na własny rachunek, byli i tacy (miejscowe władze i donosiciele), którzy mając pod dostatkiem żywności dla siebie, z poświęceniem i ze szczególną zawziętością tropili i karali nas, głodujących. Dobrze zapamiętałem swoją pierwszą kradzież, \* był to mój chrzest bojowy w zdobywaniu żywności. Pracowałem przy przerzucaniu pleśniąjącej pszenicy. Wieczorem tuż przed zakończeniem pracy, po uprzednim rozejściu się, zacząłem napekniać kieszenie i nogawki spodni pszenicą, byłem tak zajęty i zdenerwowany, że zaniedbałem obserwacji. Byłskawicznie zwałił się na mnie stróż - donosiciel, skrepował moje ręce i trzymając za ramię prowadził mnie do kantoru.

Mślałem, że wpadłem i spodziewałem się najgorszego. W pewnej chwili poczułem lekkie zelżenie ucisku za ramię - to mnie wystarczyło, raptownie wyrwałem się i co sił uciekałem, jedynie moja nowa czapka zimowa spadła mi z głowy. Był już ciemno [do tego stopnia, że] stróż nie rozpoznał mnie, a w pogoni za mną nie miał szans. Do ziemianki wróciłem bardzo przestraszony, lecz z ukradzioną pszenicą. Na jutro w ponieszczeniu, gdzie przydzielono pracownikom pracę, ująłem wiszącą na gwoździu moją czapkę - brygadzysta wraz ze stróżem bacznie obserwowali, kto z pracowników zainteresuje się czapką.

Pułapka zastawiona na mnie nie udała się. Moja czapka przez długi okres wisiła na gwoździu, lecz właściciela nie rozpoznano. Szkoda mi było nowej zimowej czapki, którą w końcu ktoś zabrał.

Innym razem późną jesienią nocą, wybrałem się z workiem na państwowe pole po ziemianki i marchew, które były wykopane i leżały w kupach. Nabrałem do worka, ile mogłem udźwignąć, i wracałem do domu. Niespodziewanie nadjechał konno Predsjedaciel Sowchozu, zauważył mnie i widząc, że niosę skradziony łup, zaczął okładać mnie nahajką i wykrzykiwać. W ten sposób siedząc na koniu gnał mnie siekąc nahajką, gdzie się tylko dało, prawie do samego Sowchozu. Worek z łupem rzuciłem i kiedy byliśmy pomiędzy zabudowaniami /ziemianki/, udało mi się uciec od goniącego Predsjedaciela. Prawie do rana przesiedziałem w zaroślach piołunu i miałem szczęście, że mnie nie rozpoznał w ciemnościach nocy.

Nie dalek za wygraną, po kilku dniach nocą wróciłem i odnalazłem worek z ziemiakami, tym razem szczęśliwie zaniósłem do domu, a rodzeństwo przez jakiś czas miało co jeść. Przewodniczący ~~omawiał~~ <sup>opowiadał</sup> z pracownikami, że o mało nie schwytał złodzieja - często bacznie przyglądał mi się, lecz na moje szczęście nie miał pewności, że ja byłem tym złodziejem.

Pamiętam zimę w pierwszych miesiącach 1945 r. późnym wieczorem wróciłem głodny, przemarznięty i bardzo zmęczony z pracy, byłem wściekły, że nie udało mi się nic ukraść, [do ziemianki wróciłem bez niczego co mógłbym dać do zjedzenia rodzeństwu] - wszyscy czekali, a ja nic im nie przyniosłem. Tak jak stałem, ułożyłem się na klepisku do snu, nie mogłem zasnąć, podobnie jak nie spali wygłodzeni siostry i bracia. Cały czas myślałem, co [można uczynić, ażeby] skąpinować, ~~jak~~ ukraść cokolwiek do jedzenia. Wiedziałem, że w przechowalni zboża /ziarnochraniliszczu/ [jest] przechowywana na wiosenne zasiewy żadna pszenica. Widok głodnego rodzeństwa spowodował, że podjąłem desperacką i niebezpieczną decyzję - o północy wybrałem się ukraść pszenicy, znalazłem dobrą możliwość wejścia do środka [przechowalni zboża]. Położyłem się na śniegu i obserwowałem stróża, który co jakiś czas obchodził dookoła magazyn. W sprzyjającym momencie przez uchyloną deskę znalazłem się <sup>wewnątrz</sup> [magazynu], zacząłem szybko, lecz ze strachem napełniać worek /poszewką od poduszki/ oraz kieszenie i nogawki spodni.

*W krótkim czasie* przyzwyczaiłem się do ciemności i mogłem swobodnie poruszać się w magazynie, lecz w pewnym momencie, kiedy szłyśmy się do <sup>wysiad</sup> opuszczenia magazynu, nie przed sobą nie widziałem - wszystko było białe, gdyż dopadła mnie przeklęta "kurza ślepotą". Czym bardziej denerwowałem się, tym gorzej widziałem. Ponieważ "Kurza ślepotą" nie opuszczała mnie oraz z powodu nasilającego się strachu, wysypałem pszenicę z worka i po omacku szukałem otworu, ażeby uciec - nic z tego, nie widziałem i zostałem uwięziony. Nie wiem, jak długo tam siedziałem, zaczęło lekko świtać i "słyszałem" odgłosy kobiet zbliżających się do magazynu, do pracy przy zbożu. Zaczęłem trochę widzieć i schowałem się [stanałem] obok drzwi bramy wejściowej; po otwarciu drzwi do wnętrza weszła duża ilość kobiet i kilku chłopców. Było jeszcze dość ciemno - dołączyłem się do nich i jakby <sup>nie</sup> ~~nie~~ zacząłem razem ze wszystkimi przerzucać łopatą pszenicę. Dopiero po pewnym czasie brygadzistka zauważyła i rozpoznała mnie -



*co tu robie, kiedy*  
 pytając i oświadczając, że mnie do pracy w magazynie nie wyznaczała. Wmówiłem jej, że się myli lub zapomniała, gdyż ja pracuję w magazynie z jej polecenia. W końcu kazała mi iść do swojej pracy, tj. wziąć siano. Będąc bardzo podenerwowany w czasie szamotania się w pulapce - magazynie, zapomniałem wysypać pszenicę z nogawek spodni, którą teraz dostarczyłem do ziemianki, gdzie przestraszeni głodni i zrezygnowani czekali na mój powrót bracia i siostry. Miałem szczęście, i tym razem udało się.

Innym razem, kiedy głód szczególnie dawał się nam we znaki, i dla ratowania się przed głodową śmiercią, chwyciłem się ostatniej deski ratunku. Mój dobry znajomy i kolega Kolka Rabcow, który wraz z rodziną cierpieli głód podobnie jak my, zaprowadził mnie w miejsce gdzie było można zdobyć szczególnego pożywienia. Obok w pobliżu magazynu zbożowego latem zagnieździły się w norach suszy /podobnie do szczurów/, jedząc pszenicę byli tłuste i stanowili dla nas dobrą okazję pożywienia się. Bezpośrednio nie było możliwości ich złapać, więc do nor, gdzie się gnieździły nalewaliśmy dużą ilość wody - suszy wyskakiwały i wpadały w nasze ręce. Obdzierałem złapane suszy ze skóry i przynosiłem do domu jako małe zające - Jadzia zadowolona i szczęśliwa gotowała "małe zające", a my wszyscy z apetytem *zjadaliśmy* pożyliśmy się nimi.

Na wiosnę z głodu i wycieńczenia zdychało dużo owiec, które były pozostawione w stepie, bądź płytko zakopywane. Zdechła owca, chociaż była bardzo chuda, nadawała się do spożycia dla nas głodujących. Zbierałem takie owce, odcinałem tylne nogi, na których najwięcej było mięsa, które po obdarciu ze skóry przynosiłem do domu - ugotowane przez mamę /kiedy żyła/ lub przez Jadzię zjadaliśmy się z wielkim apetytem, smakowały podobnie jak suszy, "małe króliki". Po spożyciu padliny często łapała nas biegunka, bolał żołądek, lecz pragnienie zaspokożenia głodu, było silniejsze od wszystkiego.

W walce ze śmiercią głodową braliśmy udział wszyscy. Każdy, jak tylko potrafił, i co można było zjeść, różnymi sposobami zdobywał i przynosił do domu. Kazik wyspecjalizował się w odnajdowaniu i opróżnianiu gniazd wróbli, które gnieździły się w oberoch i chlewach, gdzie przetrzymywano byki. Wyszukiwał gniazda wróbli, wybierał z nich jajka lub małe pisklęta i wszystko znosił do domu. Ugotowane jajka i pisklęta zjadaliśmy z apetytem - ~~ponimo~~ *ponimo*, że ilość tego jedzenia była bardzo mała, lecz chociaż na pewien okres zaspokajaliśmy głód. Łapałem, zabijałem i zjadaliśmy psy i koty, których

w końcu w Sowchozie pozostawało bardzo mało. Inatorów na koty i psy w sowchozie było więcej, gdyż głód dokuchał większości mieszkańców.

W Sowchozie - pasielka znajdowała się stołówka, w której gotowano i wydawano raz dziennie w obiad zupę - "szczy" dla pracowników. Latem zupę wydawano prawie wszystkim pracownikom, natomiast zimą (po zakończeniu prac polowych) przy siewach, sianokosie i żniwach, ze stołówki korzystali tylko wybranci - mechanicy, kombajnisty i traktorzyści, pozostali musieli zadowolić się "pajką" - 200 gram chleba i tym, co mogli ukraść. Dla nas ten okres był bardzo ciężki, podobnie jak cały okres przebywania w Sowchozie na zesłaniu. Kiedy nie było co jeść, Jadzia wraz z młodszym rodzeństwem i z Anią Janeczną zakradali się do stołówki i wybierali - wyjadali z misek pozostawione resztki zupy. Trudno o tym wspominać, lecz było to zdarzenie bardzo bolesne i poniżające. Czasami na pozostawione resztki w misce czatowali jednocześnie Jadzia i Ania, które były koleżankami. [Chąc powodowaną głodem] zmuszała Ich do urządzania prawdziwych wyścigów po resztki pozostawione w misce - często wyrwali sobie nawzajem, kto pierwszy ten lepszy. Podobnie postępowali przy opróżnianiu świetlików z obierkami wyrzucanych resztek jedzenia. W tych przypadkach głód silniejszy był od przyjaźni.

W czasie długotrwałej zimy, kiedy nie było można zdobyć do jedzenia na terenie Sowchozu, bardzo często sama Jadzia, bądź z Anią i młodszym rodzeństwem wyruszały do Kołchozu, który znajdował się o około 15 kilometrów od naszego Sowchozu, gdzie chodzili po prośbie. Ubrani w łachmany, przemarznięci chodzili od domu do domu i prosili cokolwiek do jedzenia, często ludzie litowali się i dawali co mieli - kawałek chleba, kilka ziemniaków lub trochę maki, jak również często wracali do domu prawie z niczym, co mógł dać biedak żebrakowi. Zdarzały się przypadki, że podczas chodzenia po prośbie złapał Ich mroźny buran i nie mogli wrócić do domu przez kilka dni. W tych ciężkich i niebezpiecznych dla życia okresach Jadzia i Ania zapomniały o nieporozumieniach, które wynikały w czasie wyścigów po resztki jedzenia w stołówce. Głód sprawiał wzajemną zazdrość i gniew, lecz w innych przypadkach cementował zaufanie, wzajemną pomoc i przyjaźń - gdyż jednemu mieli los.

Walka [z głodem] o przetrwanie była bardzo niebezpieczna - wszystko, co udało się ukraść tj. pszenicę, ziemniaki, kapustę itp. chowaliśmy w specjalnej szuflce /schojku/.



W ziemniaczce mieliśmy wykopany i zamaskowany dół, w którym przechowywaliśmy to, co ukradliśmy. Pszenicę można było zmielić na żarnach tylko w nocy, podobnie w nocy musieliśmy gotować ziemniaki, kapustę itp. Mielenie na żarnach w dzień lub gotowanie czegokolwiek groziło [niebezpieczeństwem] ukarania. Miejscowe władze i donosiciele uważali, że jeżeli ktoś z mieszkańców /a szczególnie Polacy/ co <sup>kolwiek</sup> ~~pięzo~~ z mąki lub gotuje - to musiał ukraść. Każdy, kogo złapano na kradzieży, ponosił surowe konsekwencje. Nasz sąsiad i mój rówieśnik, Tatar Iwan Huzuzinow, którego przyłapano na kradzieży kilograma pszenicy, na pokazowej rozprawie sądowej, został skazany na 10 lat więzienia /pracy w kopalni/. Za drobną kradzież karano surowymi wyrokami, a jednocześnie bardzo duże ilości pszenicy, ziemniaków i innych warzyw ~~pleśniało~~, gniło i była zakopywana.

Na początku wiosny 1945 r. było nam szczególnie ciężko, rozdzielstwo, a szczególnie najmłodsze siostry, Tereska i Danusia, zaczęły pachnąć z głodu, prześladowały nas ciągłe choroby, byliśmy na krawędzi śmierci głodowej. Mnie w każdej chwili groziło wezwanie do sowieckiego wojska. Z własnej inicjatywy i za poradą Lidii Andriejczuk udało nam się do Kijaków i zwrócić się o pomoc do znajomej naszej mamy, Pani Kuczyńskiej, która opiekowała się Anią Janczewią. Udało nam się przede wszystkim [o pomoc] o unieszczenie młodszego rodzeństwa w Polskim Sierocińcu i o to bardzo Panią Kuczyńską prosiliśmy. Pomimo niebezpieczeństwa, jakie groziło Pani Kuczyńskiej, podjęła się udzielić nam pomocy. Zgodnie z radą Pani Kuczyńskiej, rano przed świtem /był koniec kwietnia/, w tajemnicy przed miejscową władzą i donosicielami, wspólnie z Jadzią ubrałem w co tylko było całe rodzeństwo, poślizgnęliśmy się z rodziną Andriejczuków i ruszyliśmy boso i pieszo do Kijaków. Szliśmy przeważnie bocznymi drogami /obawiamy się spotkać kogokolwiek/ i o zamiarach byliśmy na miejscu u Pani Kuczyńskiej. Po krótkim odpoczynku razem z Panią Kuczyńską udaliśmy się na miejscową stację kolejową, gdzie po kilku godzinach oczekiwania nadjechał pociąg osobowy z Kowragandy do Świerdkowska. W czasie krótkiego postoju pociągu, Pani Kuczyńska dogadła się /za opłatą/ z konduktorką, aby wpuściła nas do wagonu i dopilnowała nasz przejazd do Małutki. W wagonie, do którego wpuściła nas konduktorka, było ciasno, ciasno, lecz ciepło, więc natychmiast wszyscy zasnąli. Z Kijaków do Małutki było około 300 kilometrów, jechaliśmy prawie całą noc. Rano o świcie konduktorka obudziła mnie, a ja młodszego rodzeństwo i dojechaliśmy szczęśliwie na miejsce do Małutki.

U przechoźniów zapytalem, ~~gdzie~~ gdzie mieszka się Polski Dom Dziecka. Po kilku minutach drogi przez małe miasteczko, dotarliśmy do upragnionego celu. Stał nie-duży parterowy drewniany budynek, a przed wejściem do środka wisiała tablica z polskim napisem - Polski Dom Dziecka w Hamłucie. Był początek maja 1945 r.

### ROZDZIAŁ VIII

Po rzykosnym i trudnym dotarciu do Polskiego Domu Dziecka w Hamłucie, udałem się do kierownika tego Domu, która na widok mego rodzeństwa, zakasała ręce i powiedziała, że tak zabijanych, wychudniętych i obdartych dzieci dotychczas nie widziała - rzeczywiście widok nas wszystkich był opłakany - Dzieciaki z Domu Dziecka otoczyły nas, byliśmy obiektami zainteresowania wszystkich obecnych, a najbardziej roznieszkał ich ubiór Jędzki - była ubrana w suknie mamy i podwiązana sznurkiem dla skrócenia długiej i obszernej sukni. Natychmiast otoczono nas bardzo troskliwą opieką - przede wszystkim zostaliśmy nakarmieni i ogrzani w ciepłym pomieszczeniu. Największym kłopot i trudności miał personel Domu Dziecka z oduszcawieniem nas - kilkakrotnie przepuszczano nas przez banię - woszobogką i dopiero po przebraniu nas w inne ubranie i kilkakrotnym czesaniu i smarowaniu włosów i głowy, w większości pozbyliśmy się wozów.

Kierownikowi Domu Dziecka, którą była Pani Anna Borych, szczegółowo opowiedziałem, skąd jesteśmy i w jakiej beznadziejnej sytuacji znaleźliśmy się, nie miałem żadnych dokumentów /swoją książeczkę wojskową nie okazałem/. Pomimo ciasnoty, młodsze rodzeństwo zostali przyjęci do Domu Dziecka, który był dla nich ostatnią deską ratunku. O wiele gorzej, a nawet bardzo źle wyglądała sprawa ze mną - Pani Borychowa oświadczyła mi, że Dom Dziecka jest pod ścisłym nadzorem miejscowych władz sowieckich, a ponieważ ja jestem wyrośnięty /miałem 16 lat i 7 miesięcy/, nie może ona przyjąć mnie do Domu Dziecka jako wychowanka. Bardzo tym wszystkim byłem zmartwiony, tym bardziej, że chciałem być razem z młodszym rodzeństwem. W końcu dzięki Pani Borychowej sprawa ze mną została załatwiona bardzo pomyślnie, Pani Borychowa zdecydowała, że w Domu Dziecka zostaną zatrudniony jako robotnik do różnych prac, tym bardziej, że taki robotnik w Domu Dziecka był bardzo potrzebny.



Dom Dziecka mieścił się w dwóch budynkach - w jednym mieszkały dziewczęta; do którego trafiły Tereska, Danusia i Jasia, a w drugim budynku mieszkali chłopcy, do którego trafiły Kaziś i Staszek, oraz przydzielono skromną przyczepę dla mnie. Razem w Domu Dziecka było około 120-140 dzieci w różnym wieku - od prawie niemowląt do 16-go roku. Jadzia najbardziej ucieszyła się z tego, że spotkała się ze swoją serdeczną koleżanką z Sowchozu - Anią Jasińczewią, która od zaledwie kilku miesięcy, po różnych kłopotach /tak ja i my/ przebywała w tym Domu Dziecka. Wychowankami Domu Dziecka byli przeważnie sieroty - małe dzieci, których ojców pomordowali sowieccy oprawcy w łagrach i więzieniach, a matki umarły z głodu i chłodu w różnych miejscowościach, gdzie zostali wywiezieni. Było kilkanaście dzieci półsierot, które znalazły schronienie w Domu Dziecka, ponieważ matki nie były w stanie ich utrzymać, bądź przebywały w szpitalach lub odsiedziały wyroki w sowieckich więzieniach. [Przeżycia i cierpienia wszystkich dzieci, które tam przebywały, mogły stanowić osobne wspomnienia, ich.]

Bezpośrednią opieką nad dziećmi sprawowały Polki - wychowawczynie, które czyniły wszystko, żeby zastąpić im rodziców, pomniejszyć ich cierpienie [z powodu sieroczej choroby], a przede wszystkim zatroszczyć się o powrót do Polski, w którą wszyscy wierzyliśmy. Dom Dziecka pod każdym względem - nadzór, wyżywienie, odzież itp. był pod zarządem miejscowych władz sowieckich /z krótką przerwą w 1941 i 1942 r./. Wyżywienie dzieci było skromne, lecz jednocześnie zapewniało jako takie życie i chroniło przed głodową śmiercią. Kiedy widziałem, jak na widok kromki chleba z masłem i szklanki kakao, z zadowolenia i radością uśmiechnęły się Tereska i Danusia, byłem przekonany, że najgorsze jest już za nami, że napewno tutaj w Polskim Domu Dziecka przeżyjemy i powrócimy do upragnionej Polski.

Miejscowość Mamlutka, gdzie mieścił się Polski Dom Dziecka /Sierociniec/, położona była o około 300 kilometrów od naszego Sowchozu i o 50 km od Pietropawłowska, na trasie kolejowej Kiergenda - Swierdłowsk. W odrożnieniu od miejsca naszego zesłania /Kijeży/, Mamlutka położona była w sąsiedztwie lasów - przeważnie były to lasy brzozyne, a obok Domu Dziecka znajdowała się dość duże jezioro. [Pod każdym względem była to inna miejscowość od tej, gdzie byliśmy na zesłaniu.] Większość budynków - mieszkań, były drewniane donki portowe, a mieszkańcami Mamlutki, która była stacją kolejową i małym miasteczkiem, były różne *nacje* - Rosjanie, Kozachowie, Tatarzy, Niemcy

oraz dość dużo rodzin polskich - zesłańców. W Małutce znajdował się jeden z głównych magazynów polskich, gdzie zaopatrywano w żywność, odzież i amunicyj Polaków, a przede wszystkim polskie jednostki wojskowe w okresie, kiedy organizowała się na terenie Związku Sowieckiego Armia gen. Andersa.

Mój pobyt w Sierocińcu od początku do końca był skry<sup>OW</sup>plikowany i bardzo często ryzykowny. Z jednej strony nieoficjalnie byłem wychowankiem, natomiast z drugiej strony oficjalnie byłem robotnikiem do wszystkich robót, jakich w Domu Dziecka było bardzo dużo. Do podstawowych moich obowiązków należało zaopatrywanie Domu Dziecka w drewno, no które przy pomocy starszych wychowanków /dziewcząt i chłopców/, raz w tygodniu jeździłem wynajętymi wołami do lasu w odległości 10 kilometrów. Przywożone drewno musiałem pilkować, rąbać i dostarczać do opalania budynków Domu Dziecka - przez całe lato 1945 roku do gotowania posiłków, a zimą 1946 r. przede wszystkim do ogrzewania pomieszczeń. Ponadto musiałem doglądać szkapę - konia, którym wykonywano różne prace przewozowe na miejscu. Pracy miałem bardzo dużo, lecz wykonywałem ją z zapałem i chęcią - pracowałem dla sierot - polskich dzieci, dla moich sióstr i braci.

Pani Anna Bedychowa, całkowicie poświęciła się swojej pracy, polegającej na ratowaniu polskich dzieci - sierot, była bardzo dobrą kobietą, a sierotom zastępowała matkę. Po pewnym okresie mego pobytu, opowiedziała mi dramatyczną historię Sierocińca i dzieci od samego początku istnienia Polskiego Domu Dziecka.

Polski Sierocińiec w Małutce został powołany - zorganizowany po podpisaniu układu pomiędzy Rządem Polskiej Rzeczypospolitej na czele z gen. Sikorskim, a Związkiem Sowieckim. Uruchomienie polskiego Sierocińca nastąpiło w sierpniu 1941 r. Polskie sieroty, które masowo przedostawały się w większości z miejscowości położonych niedaleko Małutki, miały wyjechać wraz z Polską Armią gen. Andersa i na taki wyjazd wraz z polskim personelem bardzo czekały, a latem 1942 r. do tego wyjazdu wszyscy byli przygotowani i spakowani. Podobnie jak inni Polacy, którzy pragnęli wyrwać się z piekła sowieckiego, tak też i sieroty polskie w Małutce, władze sowieckie opóźniały i pod różnymi pretekstami utrudniały wyjazd na południe i dalej na Bliski Wschód wraz z polskim wojskiem, a jesienią 1942 r. Sowietci ostatecznie uniemożliwili wyjazd z Małutki.



Z widlonych powodów stosunek władz sowieckich do Polaków stawał się nieprzyjemny, a w większości przypadkach bardzo wrogi, a **Polaki Sierociniec** zamiast wyjechać pozostał na miejscu.

Zimą 1942/43 roku władze sowieckie przystąpiły do rozwiązywania polskiego **Sierocinca** tj. polskie dzieci - sieroty siłą unieszczone w różnych sowieckich **dzieciłoniach**, a polski personel w większości osadzono w więzieniu. Pani Bodychowa ~~x~~ jako kierownik **Sierocinca** została osadzona w więzieniu na 6 miesięcy.

W okresie, kiedy zbierano polskie sieroty, Pani Bodychowa prosiła i należała, szczególnie starszym dzieciom, żeby utrzymywały listowny kontakt z polskimi rodzinami mieszkającymi w Moskucie i z chwilą ponownego otwarcia **Polskiego Sierocinca**, starały się do niego powrócić.

Jesienią 1945 roku utworzony przez władze sowieckie Związek **Patryjotów Polskich** w ZSRR, otworzył w Moskucie od nowa **Polaki Sierociniec**, a Panią Bodychową po zwolnieniu z więzienia, ponownie powołano na **Kierownika** tego **Sierocinca**. Z więzień zwolniono inne osoby, które podobnie jak Pani Bodychowa zostały zatrudnione jako wychowawczynie lub na innych stanowiskach.

**Sierociniec** funkcjonował pod bezpośrednią nadzorem miejscowych władz sowieckich we współdziałaniu z Oddziałem ZPP w Pietropawłowsku, którego przedstawicielem nadzorującym nad wychowaniem polskich dzieci-sierot, była Pani M. /nazwisko znam dobrze, lecz z powodu wyjątkowo niechlubnej roli, jaką odgrywała w **Sierocincu**, nie podałem do wiadomości/. Pani M. była przedwojenną komunistką, była z-cą Pani Bodychowej, a jej głównym zadaniem było czuwanie nad wychowywaniem i osobiste wychowywanie dzieci [sierot] w duchu przyjaźni do Związku **Sowieckiego** - na wzór **Sowiecki**.

Po ponownym otwarciu **Sierocinca** w Moskucie, zaczęły przybywać do niego polskie dzieci - starsze w wieku 12-15 lat, uciekały z sowieckich **dzieciłoniach**, dokąd były przymusowo unieszczone, [wielu] i pieszo pokonując powyżej 100 kilometrów, różnymi drogami [i pokonując wiele przeszkód] na wózek żywi, wrócili do polskiego **Sierocinca**.

Ucieczka z sowieckich **dzieciłoniach** udało się zaledwie kilku dzieciom, większość dzieci, przeważnie małoletnich, nigdy nie powróciły do polskiego **Sierocinca**, zostali rusyfikowani i na zawsze pozostali w Związku **Sowieckim**. Pani Bodychowa, ~~która~~ w czasie pobytu na stanowisku opiekowała się, chroniła i broniła polskie sieroty przed zagubieniem i rusyfikacją. Wiele dzieci, z którymi razem przebywała w Moskucie -

- w Sierocińcu, podobnie jak ja i moje młodsze rodzeństwo zawdzięczają jej swoje przetrwanie i szczęśliwy powrót do Polski.

Własne zdrowie a nawet życie poświęcała na ratowanie polskich sierot przed głodową śmiercią i wychowywała jak mogła do przyszłego dorosłego i samodzielnego życia.

Dzięknie Pani Budykowej przy ~~wychowywaniu~~ i ratowaniu polskich sierot, było wyjątkowo utrudnione przez władze sowieckie. Gdy tylko dowiedzieli się, gdzie w sowieckim Dzieciństwie były przetrzymywane polskie sieroty, to po uzyskaniu /wyzwoleniu/ upoważnienia od władz sowieckich, natychmiast tam się udawali.

Stosowała różne metody, /prośby i groźby/, ażeby wyrwać - zebrać polskie dziecko. Opowiadała mi, jak rozmawiając z matką dzieckiem w obecności wychowawcy sowieckiego, nie wiedziała jak wydobyć z dziecka chociaż jedno polskie słowo - dziecko obawiając się wychowawcy sowieckiego lub z powodu zapomnienia polskiej mowy przeważnie milczało - spoglądając ze strachem na sowieckiego wychowawcę bądź zaczynało płakać.

Pani Budykowa, kłwto z odzyskania polskiego dziecka nie rezygnowała i bardzo często rozpoznawała polskie sieroty po jednym polskim słowie, jakie wypowiedziało dziecko. Bardzo często poznawała polskie dziecko po znaku - bliźnie, szczepionki dziecka na ramieniu.

Wyrwane <sup>Sobiane</sup> polskie małe dziecko z sowieckiego Dzieciństwa, trzeba było od początku uczyć polskiej mowy i przyzwyczajając, że jest Polakiem, i znajduje się wśród polskich dzieci w polskim Sierocińcu. Pani Budykowa wraz z innymi wychowawczyniami /pamiętam Panią Czeczot i Dobrowolską/ z cierpliwością i poświęceniem uczyły odzyskane dzieci polskości. Zdarzały się pojedyncze przypadki, że odzyskane polskie dziecko z powodu trudności dostosowania się do innego - polskiego środowiska, uciekało do sowieckiego ~~dzieciństwa~~, skąd zostały przywiezione, lecz po pewnym czasie sama wracały do polskiego Sierocińca - dziecko przeżywało bolesną rozterkę, nie wiedziało, gdyż nie mogło wiedzieć, czy jest Polakiem czy Rosjaninem. Adaptacja odzyskanych polskich sierot była często trudna i długotrwała, lecz w końcu kończyła się pozytywnie. Dzieci przyzwyczajały się do polskiego otoczenia i z polskim Sierocińcem wróciły do swojej Ojczyzny.

Skierowana - przesłana przez Związek Patriotów Polskich w ZSRR do Sierocińca w Moskwie Pani H. od samego początku swojej "pracy" była w konflikcie z Panią Budykową, na tle sposobu wychowywania i postępowania z dziećmi.



Pani H. zgodnie z otrzymanymi zaleceniami swoich nadzorców z ZPP zabraniała wychowawczyniom uczenia - nauzenia dzieci modlitwy /po-  
eierza/ żegnania się, a przede wszystkim Śpiewania religijnych pieśni  
oraz zakazywała /zdejmowała/ krzyże, które wieszaliśmy w pomieszcze-  
niach Sierocińca; - zawsze ze złością powtarzała, że Sierociniec nie  
jest zakonem i dzieci należy wychowywać w duchu przyjaźni do Związku  
Sowieckiego i jako przyszłych budowniczych nowej Polski.

Dzieci nie rozumiały różnych obietnic i przepowiedni Pani H. i często  
nie słuchały pogadanek, jakie Pani H. wygłaszała, a nawet bardzo często  
robili Pani H. na złość.

Pani Budykowa była przeciwna metodom, jakie stosowała Pani H.  
[w stosunku do polskich dzieci] - często na tym tle dochodziło do kłótni.  
Pamiętam, jak Pani Budykowa powtarzała Pani H., że polskie dzieci bę-  
dą wychowywane po polsku i po chrześcijańsku, a o swojej przyszłości  
zdecydują same, jak dorosną.

Pani H. często skarżyła się na Panią Budykową do miejscowej władzy  
sowieckiej, gdzie wzywano Panią Budykową na ostrzegawcze i uświadamia-  
jące rozmowy. Ja wraz z innymi chłopakami /z Bronkiem Świckim, Ryśkiem  
Fabianem i Andrzejem Bohdanowiczem/ w porozumieniu z Panią Budykową,  
robiliśmy drewniane krzyże i kiedy Pani H. zdejmowała - natychmiast  
na ich miejsce wieszaliśmy w pomieszczeniach Sierocińca nowe krzyże -  
była to prawdziwa wojna o krzyże.

Pani H. pomimo, że była komunistką, została przez władze sowieckie  
wywieziona wraz z rodziną na Sybir, lecz w czasie pobytu na zesłaniu,  
w sposób fanatyczny służyła i broniła propagandy sowieckiej.  
Bardzo dziwna była ta kobieta, i dziwnie postępowała i zachowywała się.

Życie polskich sierot było różne - raz gorsze, raz lepsze w za-  
leżności od pomocy - przydzielania przez miejscowe władze sowieckie  
żywności i odzieży. Zarówno chłopcy jak i dziewczęta /małe i starsze/  
w swoich pomieszczeniach słydy na piętrowych pryzkach, lecz dla wszyst-  
kich najważniejsze było, że nie groziło im tułenie i beznadziejne  
życie, (nie mieli zapewnioną opieką), a przede wszystkim nie groziła im gło-  
dowe śmierć i szansa powrotu do Polski.

Pomimo trudnych warunków naszego bytowania, w polskim sierocińcu żyło  
i rozwijało się życie kulturalno-patrzyjotyczne. Inicjatorem i organi-  
zátorem tej działalności z polskimi dziećmi, był Pan Nowicki /obecnie  
mieszka we Wrocławiu/, który uczył dzieci polskich piosenek, wierszy,  
tańców itp.

Pan Nowicki zorganizował w Haulucie z polskich dzieci zespół artystyczny, w którym obok i razem z dziećmi brały udział polskie kobiety - mieszkanki Haulutki.

Zawsze przy każdej okazji i gdy tylko (wyraziły zgodę) miejscowe władze, zespół pod wodzą Pana Nowickiego organizował i przeprowadzał w miejscowym klubie występy artystyczne, na które oprócz Polaków, licznie przychodziła miejscowa ludność.

Dzieci młodsze i starsze z przejęciem i zapalem, jak tylko potrafili śpiewali, tańczyli i recytowali polskie wiersze - wszyscy Polacy obecni na takim występie artystycznym, byli bardzo wzruszeni, a nawet często płakali. Wszystko to, co się działo podczas występu dziecięcego zespołu artystycznego, przypominało i przybliżało nam, Polakom, naszą Ojczyznę - Polskę, a klub, w którym odbywały się występy zespołu, oraz polski sierocińiec, stanowiły w tym czasie małą częśćkę ziemi polskiej. Jak zawsze, tak i w przypadku działalności polskiego zespołu artystycznego, zawsze wtrącała się i przeszkadzała Pani H. - zawsze zabiegała, aby repertuar zespołu (zawierał działania propagandowe zmierzające do sztucznego tworzenia przyjaźni Polsko-Sowieckiej. Działania Pani H. ~~nie~~ nie robiły na polskich dzieciach żadnego wrażenia i nie przynosiły oczekiwanych skutków.

Zima 1945/46 była ostatnią pełną zimą, jaką przeżyliśmy na zesłaniu. Ja wraz z młodszym rodzeństwem od maja 1945 r. przebywałem w polskim sierocińcu, gdzie jako wychowanek - robotnik wykonywałem różne prace na rzecz sierocińca, przede wszystkim dostarczałem opał - drewno z lasów położonych wokół Haulutki.

Praca zimą przy bardzo silnych mrozach, dla mnie i dla innych starszych dziewcząt i chłopców, którzy mi nie pomagali, była wyjątkowo ciężka, niezależnie od pogody trzeba było raz w tygodniu dostarczyć drewno - brak opału odczuwali najbardziej małe dzieci, gdyż w pomieszczeniach sierocińca stawiało się wyjątkowo zimno. Wczesnym rankiem udawałem się wożami do lasu - trzeba było ręczną piłą spiłować drzewo, siekierą poobcinać gałęzie, pociąć na odpowiednie kawałki, załadować na sanie i dowieźć do sierocińca. Pamiętam, jak ciężko było mnie i moim pomocnikom /dzieciom/ wykonywać tę pracę - ostatkiem sił, potykając się i padając ze zmęczenia, ładowaliśmy ciężkie kłody drewna na sanie. Ja dźwigałem gruby koniec kłody, a dziewczyna lub chłopak, podnosili za cienki - zapadając po pas w śnieg.



Ma s. 58

Pamiętam jak pewnego razu otrzymałem z miejscowego sowchozu dwa mizerne woły - byki, a jeden miał wyłamane rogi, był bez rogów. Po załadowaniu drewna ruszyliśmy w drogę powrotną, po przejechaniu za ledwie kilku kilometrów - bezrogi wół z powodu zmęczenia, sprytnie uwolnił się z jarzma i uciekał przed siebie.

Goniłem za uciekającym wołem przez kilka kilometrów, okrążyć woła i zawrócić - złapać nie mogłem, ponieważ po zejściu z ubitej drogi zapadałem się po pas w śnieg, a w bezpośredniej pogoni za uciekającym wołem nie miałem szans. W końcu udało mi się oszukać i dogonić woła, a kiedy wróciłem do czekającej z jednym wołem wystraszonej koleżanki było już prawie ciemno, a dookoła nas krążyły wilki.

Wystraszeni, przemarżnięci i głodni, o północy wróciliśmy - przyjechaliśmy do Sierocińca, gdzie zaniepokojeni czekali na nas Pani Bodychowa z innymi wychowawczyniami i z dziećmi.

Każdy nasz wyjazd do lasu po drewno, połączony był z ciągłym niebezpieczeństwem - często powracaliśmy z odmrożeniami - rąk, nóg, policzków itp. <sup>Gromito wam to</sup> Zawsze wisiało nad nami niebezpieczeństwo zamarżnięcia na śmierć, szczególnie gdy złapał nas mroźny i bardzo wietrzny buran - śnieżycą.

W okresie rocznego pobytu w polskim Sierocińcu wszyscy byliśmy ze sobą zżyci i nawzajem sobie pomagaliśmy - starsze dziewczęta opiekowali się małymi dziewczętami, a starsi chłopcy opiekowali się młodszymi. W sierocińcu poznałem wielu młodszych chłopaków i dziewcząt - do dnia dzisiejszego pamiętam Ich imiona i nazwiska: /nie wszystkich/ Bronka Siwickiego, Ryśka Fabiana, Andrzeja Bohdanowicza, Janka Łysakowskiego, Jego brata Zdzisława i siostrę Tereskę, Janka Janickiego i Jego dwóch braci, Janusza Głowczyka i Jego młodszego brata, dwóch braci Czeszotów, Sergiusza Skotnickiego, Wandę Spryszyńską, Anię Juńczenia /znam ją od 1940 r./, Józefę Białowąs, Elkę Kotarską oraz wielu innych, których nazwiska ulotniły się z mojej pamięci - od naszego wspólnego pobytu w Sierocińcu upłynęło już ponad 45 lat.

W 1946 roku co raz częściej docierały do nas różne wiadomości i informacje o rychłym powrocie do upragnionej Polski, wszyscy byliśmy podnieceni i zarazem zniecierpliwieni. Informacje, jakie docierały do nas, były różne i często zmienne - jedni mówili, że wyjedziemy za tydzień lub za miesiąc, inni z kolei nie przewidywali szybkiego wyjazdu, lecz wszyscy, zarówno polskie rodziny mieszkające w Mamlutce, jak i my, mieszkańcy polskiego sierocińca, <sup>912</sup> ~~marzyliśmy~~ i wierzyliśmy, że zbliża się chwila naszego wyjazdu.

Przy końcu kwietnia 1946 r. Pani Bodychowa po przyjeździe z Pietropawłowska, zakomunikowała nam wszystkim, że na początku maja wracamy do Polski - radość, jaka zapanowała wśród nas, była bardzo wielka - trudna do opisanía. Wszyscy zaczęliśmy się przygotowywać do wyjazdu.

## ROZDZIAŁ IX

Pierwszą czynnością, jaką Pani Bodychowa musiała wykonać przed naszym wyjazdem, na zżądanie miejscowego N.K.W.D., to sprządzenie w krótkim czasie szczegółowej listy - wykazu wszystkich dzieci-sierot, znajdujących się w polskim sierocińcu. Oficer N.K.W.D., który zajął się tą sprawą, żądał, ażeby wymagana lista zawierała dokładne dane o każdym dziecku - imię, nazwisko, data urodzenia, skąd przybył do Sierocińca itp. N.K.W.D. żądając szczegółowych danych, usiłowało ograniczyć ilość dzieci, które Pani Bodychowa szykowała do wyjazdu - brak danych lub nie pełne dane o konkretnym dziecku, w pojęciu oficera N.K.W.D. oznaczało, że dziecko nie jest narodowości polskiej i nie może wyjechać do Polski.

W czasie, kiedy Pani Bodychowa wyszukiwała polskie sieroty różnymi sposobami i w różnych okolicznościach, w bardzo duzo przypadkach brak było wszystkich danych o odnalezionym dziecku i teraz powstawały poważne kłopoty - trzeba było znaleźć - stworzyć dane o dziecku, których wymagało N.K.W.D.

Moja sytuacja była wyjątkowo trudna do pokonania - nie miałem żadnych polskich dokumentów, miałem 17 lat i 6 miesięcy i do tego byłem na ewidencji jako poborowy do sowieckiego wojska. Rozmyślając nad swoją sytuacją postanowiłem, że żadna siła nie zatrzyma mnie przed powrotem do Polski - w tych sprawach miałem dość bogate doświadczenie.

Pani Bodychowa wraz z całym personelem sporządzała listę - wykaz wychowanków Sierocińca, brakujące dane o dziecku wpisywano w/g uznania i ustalenia personelu, niektórym starszym dziewczętom zmniejszono o rok lub więcej faktyczny wiek, a mnie w rubryce wiek - wpisano 15 lat. W końcu po różnych koniecznych "zabiegach" - "poprawkach", lista - wykaz wychowanków polskiego sierocińca została sporządzona zgodnie z życzeniem oficera N.K.W.D. Starszym wychowankom Sierocińca, których dane personalne zostały z konieczności poprawione, Pani Bodychowa nakazała i pouczyła zapamiętać swoje nowe dane personalne przed kontrolą.



Byliśmy wszyscy gotowi do upragnionego wyjazdu i wyrwania się z przeklętego piekła sowieckiego.]

Na przełomie kwietnia i maja 1946 r. na stacji kolejowej w Mamlutce został podstawiony duży zestaw wagonów towarowych /bydlęcych/ i jeden duży wagon osobowy, który zamykał zestaw /szalón/. Na stacji panował żaloszny, lecz bardzo radosny gwar - polskie rodziny, przeważnie dzieci i kobiety w łachmanach i często boso, obciążeni skromnym dobytkiem, pieszo i wołami zdążali na stację i po przeprowadzonej kontroli dokumentów przez funkcjonariuszy N.K.W.D. ładowali się do podstawionych wagonów towarowych. Byli to polskie rodziny - mieszkańcy Mamlutki oraz z bliższych i dalszych okolic Mamlutki t.j. z kołchozów i sowchozów. Wszyscy wyglądali bardzo mizernie, lecz jednocześnie byli bardzo szczęśliwi - po przeszło sześciu latach niewolniczej pracy, poniewierki i poniżania, po przebytych chorobach z powodu głodu i chłodu - ci co przeżyli wracali do upragnionej Ojczyzny - Polski.

Wszystkich wychowanków Sierocińca umieszczono w wagonie osobowym i przed samym odjazdem [szalónu] do naszego wagonu weszli dwóch funkcjonariuszy N.K.W.D. - rozpoczęli szczegółową kontrolę obecnych w wagonie dzieci z listą - wykazem, sporządzoną i dostarczoną im przez Panią Bodychową. Obecnie nie pamiętam, lecz widocznie ze strachu przed tą kontrolą i jednocześnie na moje szczęście, zaczęła trząść mnie malaria do tego stopnia, że Pani Bodychowa dała mi kilka kocy i kazała położyć się na ławkę-pryczę. Atak malarii był wyjątkowo długi, a kiedy funkcjonariusze N.K.W.D. przeprowadzając kontrolę zbliżyli się do mnie leżącego i trzęsącego się z zimna, unierałem ze strachu. Widocznie mój widok oraz informacja Pani Bodychowej, że jestem chory, spowodowały, że kontrola mojej osoby była bardzo krótka. Enkawedzista studiując moje dane personalne z listy, bacznie przyglądał się mnie - przed odejściem uśmiechając się powiedział: "chłopak ma dopiero 15 lat, a już pod nosem wąsy rosną". Pani Bodychowa jak mogła wmawiała, że jestem 15-letnim dzieckiem.

Po zakończonej szczęśliwie dla nas /dla mnie/ kontroli dokumentów, jeden enkawedzista opuścił nasz wagon, a drugi oświadczył, że będzie się nami opiekował i przez kilka dni razem z nami będzie jechał w wagonie. Faktycznie nie była to żadna "opieka", lecz nadzór, ażeby nikt z Polaków nie zabrał się z nami do naszego wagonu. Z uwagi na obecność w wagonie enkawedzisty Pani Bodychowa nakazała mi, ażebym

nie wstawka z przyocy i udawał chorego. Pa ustaniu ataku malarii, musiałem przez kilka dni leżeć przymusowo, ażeby nie zdemaskował mnie jadący z nami enkawedzista, który ostatecznie opuścił nasz wagon dopiero po Minięciu - przejechaniu gór uralskich - ja odetchnąłem z ulgą i natychmiast uwolniłem się z przymusowego leczenia.

W czasie ładowania polskich rodzin do wagonów stojących na stacji, oprócz radości panowało zdenerwowanie i strach - często funkcjonariusze N.K.W.D., którzy przeprowadzali kontrolę dokumentów, bez większych powodów czepiali się byle czego, ażeby utrudnić lub uniemożliwić powrót do Polski. Zdarzały się wypadki, że jedna osoba lub cała polska rodzina nie mogła jechać naszym transportem do Polski, ponieważ nie była w stanie zebrać i przedłożyć do kontroli wymaganych dokumentów.

Funkcjonariusze N.K.W.D. nie okazywali żadnej litości na widok tragedii, jakie rozgrywały się w trakcie ładowania Polaków do wagonów lub kiedy transport ruszał do odjazdu. Był to widoczny sposób barbarskiego postępowania N.K.W.D. Kiedy siłą zabierano nas Polaków i wyroczono na zesłanie, wówczas nie wymagano dokumentów - wszystkich uznano za „wrogów ludu” i bez żadnych wyjaśnień ładowano do bydlęcych wagonów, natomiast teraz, ażeby powrócić do Polski, żądano udowodnienia, że jesteśmy Polakami i stwarzano różne przeszkody, czasem nie do pokonania.

Dzięki uporowi i sprytowi Pani Bedychowej oraz innym paniom - wychowawczyniom, wszystkie przeszkody i trudności zostały szczęśliwie pokonane - cały sierociniec /wszystkie dzieci/ jechały do Polski. Warunki naszej jazdy nie były najlepsze - w wagonie było ciasno, jedzenie otrzymywaliśmy w większości w postaci suchego prowiantu i od czasu na większych stacjach - miastecach otrzymywaliśmy zupełną gorącą wodę /kopiętek/. Spaliśmy na pigmowych przyczach - kawkach, które w czasie dnia składaliśmy, a na noc do snu rozkładaliśmy. Wszyscy troszczyliśmy się o to, ażeby w miarę wygodnie mogły spać małe dzieci, nam starszym dziewczętom i chłopcom nie zależało specjalnie na śnie, dniami i nocą stłoczeni, siedzieliśmy przy oknach i obserwowaliśmy widoki przeklętej ziemi, którą jak najszybciej pragnęliśmy na zawsze opuścić.

Z każdego dnia oddalaliśmy się od niejse naszej przymusowej zyjki i jednocześnie każdego dnia co raz szybciej zbliżaliśmy się do naszej upragnionej Polski. Byłem wraz z młodszym rodzeństwem bardzo szczęśliwy, że udało nam się przeżyć gehenną jaką zgotowali nam



sowieccy barbarzyńcy, a jednocześnie ogarniał mnie smutek, tęsknota i żal - ja z rodzeństwem wszystkie cierpienia przeżyliśmy i wracaliśmy, uciekaliśmy od przeklętego sowieckiego piekła, natomiast nasza mama i siostra Janka pozostały na zawsze pochowane w czarnej syberyjskiej ziemi. W tym czasie nie zdawałem sprawy z tego, że nie uda mi się nigdy odwiedzić miejsca wiecznego spoczynku naszej mamy i Janki. Jestem przekonany, że podobnie jak ja, w tym czasie myślały i przeżywały wszystkie dzieci - sieroty, z którymi razem wracałem do Polski - każde z tych dzieci na zawsze pozostawiło na nieludzkiej ziemi, najbliższe sobie osoby - swoją matkę i ojca, których często nie pamiętały, a tym bardziej nie знаły, jaką śmiercią umarły i gdzie zostały pochowane. Obraz wcześniej utraconych rodziców ~~pozostał~~ <sup>pozostał</sup> na zawsze w dziecięcej pamięci.

Polsko-sowiecką granicę przejechaliśmy o bardzo wczesnej porze porannej - wszystkie dzieci, a szczególnie starsze dziewczęta i chłopcy prawie całą noc nie spali, czekaliśmy z niecierpliwością na zobaczenie i spotkanie się z ziemią polską, do której przez przeszło sześć lat tęskniliśmy. Ja swoje spotkanie z Polską po tak długim pobycie na zesłaniu przeżywałem szczególnie - kiedy mnie wywożono z Polski miałem skończone 11 lat, wiek, w którym wszystko było ciekawe, szczególnie dla chłopca i oto teraz, kiedy miałem 17 lat i 6 miesięcy, wszystko co ujrzałem, przeżywałem z taką samą ciekawością, jakby miałem dopiero 11 lat. Wszystko, co oglądałem, było dla mnie bardzo odległe i jednocześnie bardzo bliskie - polscy kolejarze w rogatywkach, polskie i w polskim języku nazwy miast i miasteczek, przez które przejeżdżaliśmy i wreszcie polscy ludzie - Polacy, którzy bardzo serdecznie nas, sieroty, witali.

Pierwszą czynnością, jaką zrobiłem po przekroczeniu granicy polsko-sowieckiej, to zniszczenie sowieckiej książeczki wojskowej - byłem przekonany, że jestem w Polsce i nic mnie nie grozi ze strony sowieckich oprawców - nie groziło mi wcielenie do sowieckiego wojska.

Wagon, w którym wróciliśmy do Polski trafił do Gostynia<sup>n</sup> pod Warszawą, zostaliśmy przewiezieni i umieszczeni w barakach znajdujących się w lesie w odległości około 3-5 kilometrów od Gostynia. Miejsce, gdzie dzieci z Sierocińca zostały umieszczone /rozłokowane/, było punktem zbornym, do którego zwożono i rozłokowano dużą ilość polskich sierot, które podobnie jak my powróciły do Polski z polskich

sierocińców znajdujących się na terenach Związku Sowieckiego - w miejscach, gdzie zostali wywiezieni. Pamiętam dwa zdarzenia, które zarówno ja jak inne dzieci spotkały i z przyjemnością przeżyły w czasie początkowego pobytu w Gostyninie.

Pierwszym zdarzeniem i zaskoczeniem było przydzielenie każdemu dziecku prawdziwego łóżka z prawdziwą czystą i białą pościelą - ja przez przeszło 6 lat spałem wszędzie, lecz nigdy na prawdziwym łóżku, gdzie była poduszka, prześcieradło, koc itp. Miałem dziwną obawę, ażeby czasami nie z pościeli nie pognieść i nie zabrudzić, ze swoim łóżkiem obchodziłem się łagodnie i z czułością - był to rezultat pozbawienia nas ludzkich warunków mieszkania i bytowania.

Drugim miłym zdarzeniem, które nas wszystkich spotkało i zakoczyło - to bardzo dobre jedzenie, jakim nas karmiono na ogólnej jadalni.

Posiłki otrzymywaliśmy 5-cio krotnie, a kiedy przy pierwszym posiłku dostarczono na stoły duże ilości kromek chleba z masłem, wszyscy jedli - połykali na wyścigi i w obawie, że może zabraknąć, każdy brał i chował chleb na zapas. Chleba nie zabrakło, panie, które dostarczały posiłek, dyskretnie obserwowały szybkie znikanie ze stołu dostarczonego chleba i natychmiast przynosiły nowe porcje chleba.

Podobnie z jedzeniem /w obawie przed brakiem jedzenia/, w pierwszych dniach naszego pobytu w Gostyninie, postępowały młodsze dzieci. Po zjedzeniu obfitego posiłku oraz zabraniu chleba na zapas, dzieci nie oddalały się od jadalni, każde dziecko chciało cały czas być w pobliżu jadalni /stołówki/, ażeby do nowego posiłku, pierwszym zająć miejsce w obawie, że może zabraknąć jedzenia. Takie postępowanie dzieci - sierot, było rezultatem wyjątkowego głodu, który przeżywali w okresie pobytu na zesłaniu. W krótkim czasie każde dziecko przekonało się, że jedzenia w Polsce im nigdy nie zabraknie i przyzwyczajały się do normalnego ludzkiego życia.

Gostynin był jednocześnie miejscem, gdzie dokonywano rozdania i wysyłania dzieci w zależności od wieku do różnych miejscowości na terenie Polski. Moje młodsze rodzeństwo - siostry i bracia zostały umieszczone w Sierocińcach, aż do uzyskania pełnoletności, ja natomiast wraz z grupą moich rówieśników /dziewcząt i chłopców/ zostałem skierowany do Wrocławia.

Umieszczono nas w budynku przy ulicy Komuny Paryskiej 11 pod opieką Towarzystwa Przyjaciół Dzieci.

We Wrocławiu przebywałem około trzech tygodni, gdzie poddano nas



szczególonyu badaniom lekarskim.-- Choroby, jakie przebyłem podczas pobytu na zesłaniu, a szczególnie obustronne zapalenie płuc i długotrwała malaria, bardzo poważnie nadwyrężyły ogólne stan mego zdrowia, co było powodem skierowania mnie wraz z innymi dziećmi - starszymi i młodszyymi na obóz leczniczo-wypoczynkowy do Kłodzka.

W czasie prawie sześćo-tygodniowego pobytu w Kłodzku mieliśmy wyjątkowo dobre warunki - było bardzo dobre jedzenie, wszechstronna opieka lekarska i dużo wolnego czasu na spaceru po górach. Wyjątkowo dobre warunki, jakie nam stworzono, spowodowały, że szybko nabieraliśmy siły i wracaliśmy do zdrowia. W okresie przebywania na obozie zaprzyjaźniłem się z Jankiem Słowikiem i Gienkiem Musiałowskim, którzy byli moimi rówieśnikami i wspólnie przed zakończeniem pobytu w obozie podjęliśmy decyzję - idziemy na ochotnika do wojska.

O wstąpieniu do Polskiego Wojska marzyłem jeszcze w okresie pobytu na zesłaniu - tam, na przeklętej ziemi, nie miałem możliwości wstąpienia do Polskiego Wojska, natomiast od końca 1944 r. groziło mi przymusowe wcielenie do sowieckiego wojska.

Teraz, kiedy udało mi się wyrwać z przeklętego piekła sowieckiego, mogłem zrealizować swoje marzenie - 22 sierpnia 1946 roku wspólnie z Jankiem Słowikiem i Gienkiem Musiałowskim wstąpiłem ochotniczo do Wojska Polskiego - miałem skończonych 17 lat i 9 miesięcy.

Zostaliśmy wcieleni do 17 pułku piechoty, który w tym czasie stacjonował w Międzyrzeczu, byliśmy we trzech w jednym plutonie i razem przeszliśmy skrócony okres przeszkolenia rekruckiego.

Początkowa służba w wojsku, a szczególnie intensywne szkolenie rekruckie było dla nas bardzo ciężkie, szczególnie dla Janka i Gienka, ja podobne przeszkolenie, lecz w bardzo ciężkich warunkach, przeszedłem latem 1944 roku i dla tego łatwiej znosiłem trudy życia rekruta. Wspólnie nawzajem sobie pomagaliśmy.

W listopadzie 1946 roku w trójkę zostaliśmy wcieleni do wyznaczonego batalionu, w składzie którego zostaliśmy przetransportowani w Bieszczady - w rejon miasta Jasła i Krosna do prowadzenia walk z nacjonalistami ukraińskimi U.P.A. Przebywaliśmy tam prawie 6 miesięcy, był to ciężki i niebezpieczny okres naszej początkowej służby wojskowej - byliśmy młodzi i nie orientowaliśmy się w politycznej sytuacji, jaka w tym okresie była w Polsce. W czasie przeczesywania terenu zginął Gienek Musiałowski, a Janek Słowik został ciężko ranny i po częściowym wyzdrowieniu został przeniesiony do rezerwy.

Ja byłem dwukrotnie lekko ranny i po powrocie do zdrowia, zostałem odesłany do stałego miejsca stacjonowania 17 pułku piechoty, tj. do Międzyrzecza.

Na początku maja 1947 roku szef kompanii, w której służyłem, na zbiórce ogłosił możliwość ubiegania się o przyjęcie do szkół oficerskich lub podoficerskich - podjąłem natychmiast decyzję o skierowaniu mnie do lotnictwa. Zgodnie ze wskazówkami sierżanta /szefa kompanii/ każdy ubiegający się o skierowanie do szkoły wojskowej, był zobowiązany oprócz podania napisać i dostarczyć szczegółowy życiorys. Żądany życiorys pisałem prawie dwa dni, w którym dość szczegółowo i konkretnie opisałem gehennę, jaką przeżyłem od momentu wkroczenia do Wołkowyska wojsk sowieckich, aż do czasu powrotu z zesłania do Polski. Byłem przekonany, że w Polsce z takim życiorysem i jako ochтник będę miał pierwszeństwo wstąpienia do szkoły wojskowej. Wieczorem przed caprztikiem podoficer dyżurny kompanii powiadomił mnie, że mam się zameldować u szefa kompanii - byłem zaskoczony, gdyż nie popełniłem żadnego przewinienia, które mogłoby być powodem wezwania mnie. Szef kompanii /sierżant/ urzędował i mieszkał na terenie zakwaterowania kompanii i uznałem, że wzywa mnie do "butelkowania" podłogi w swoim mieszkaniu.

Przepisowo, zgodnie z regulaminem zameldowałem się u szefa kompanii, który siedział przy biurku i studiował dokumenty żołnierzy, którzy złożyli podania o przyjęcie - skierowanie do szkół wojskowych. Sierżant zaimponował mi od stóp do głowy i zapytał, jakie mam dokumenty na udowodnienie, że pochodzę z Wołkowyska - byłem zaskoczony i odpowiedziałem, że nie posiadam żadnych dokumentów i że wszystko opisałem w życiorysie. Sierżant wziął do ręki mój życiorys oświadczając, że uwierzy mi, jeżeli odpowiem na jedno pytanie: "jak się nazywał pułk, który przed wojną stacjonował w Wołkowysku" - odpowiedziałem bez namysłu - 3-ci pułk strzelców konnych. Sierżant wstał podał mi rękę - oświadczając, że jesteśmy krajanami, a resztę dowiedział się z mego życiorysu. Bardzo ucieszyłem się z tego spotkania, a w czasie długiej rozmowy sierżant oświadczył, że przed wojną służył w 3-cim pułku jako podoficer zawodowy. Była to bardzo przyjemna rozmowa - wspólnie opowiadaliśmy i wspominaliśmy o Wołkowysku, ja popisywałem się swoją znajomością spraw dotyczących ułanów stacjonujących w Wołkowysku - miejsce koszer, plac ćwiczeń itp.

W sprawie moich dokumentów /życiorysu/ sierżant wyjaśnił mi krótko i wczepnie - „chłopcze, to, co napisałeś w swoim życiorysie,



może spowodować, że zamiast do szkoły wojskowej trafisz <sup>2/</sup>spowrotem tam, gdzie byłeś, obecna Polska nie jest Polską, jaką pamiętasz z przed wojny, masz szczęście, że twoje dokumenty trafiły do mnie, gdyż jutro byłoby za późno, ponieważ będą one zabrane przez oficera informacyjnego, który oskarży cię o wrogą propagandę wobec Związku Sowieckiego, pożyjesz i jak będziesz starszy, to wszystko zrozumiesz". Po wypowiedzeniu tych słów sierżant wziął ze stołu mój życiorys i porwał na drobne kawałki, a mnie podał kartkę papieru i kazał napisać nowy życiorys. Życiorys, który napisałem w dwóch egzemplarzach i pod dyktando sierżanta, był zaprzeczeniem wszystkiego, co przeżyłem w czasie pobytu na zesłaniu. Jeden egzemplarz życiorysu sierżant dołączył do mojego podania, a drugi egzemplarz oddał mi - zaznaczając, że ten życiorys muszę znać na pamięć i dobrze schować, gdyż w okresie dalszej służby wojskowej będę musiał bardzo często pisać swój życiorys, który musi być zgodny z tym, który podyktował sierżant. O sobie mój krajan - sierżant powiedział bardzo krótko - po rozbiórce Polski służył w polskiej partyzantce, następnie został wcielony do II-giej Armii Wojska Polskiego, z którą powrócił do Międzyrzecza. Przed moim odejściem sierżant poradził mi, ażebym zapomniał o tym wszystkim, co spotkało moich rodziców, rodzeństwo i mnie z rąk Związku Sowieckiego i wogóle mam trzymać język za zębami. Serdecznie podziękowałem sierżantowi za wszystko.

Po powrocie na salę leżąc na łóżku długo rozmyślałem nad tym wszystkim, co usłyszałem od sierżanta. Kiedy wracałem z zesłania do upragnionej Polski bardzo się cieszyłem i byłem przekonany, że teraz w Polsce będę mógł bez obaw każdemu opowiadać całą swoją gehennę, jaką przeżyłem - rzeczywistość okazała się inna, ażeby żyć w Polsce i marzyć o przyszłości, trzeba było zapomnieć o bardzo bolesnej przeszłości i samego siebie okłamywać. W tym okresie dużo spraw, z którymi się spotykałem na początku mego dorosłego życia, nie mogłem zrozumieć - zrozumiałem i na własnej skórze doświadczyłem podczas wypadków, jakie miały miejsce w Polsce w czerwcu i październiku 1956 r.

Z niektórymi osobami - zesłańcami, których los zetknął ze mną, utrzymuję kontakty do dnia dzisiejszego. Od czasu do czasu spotykamy się i wspominamy nasze wspólne cierpienia i przeżycia, jakich doznaliśmy z rąk sowieckich barbarzyńców w czasie naszego pobytu na przeklętej ziemi i tak:

Rodzina Awdziejczyków do dnia dzisiejszego zamieszkuje w Warszawie :

- Olek Awdziejczyk mieszka w Warszawie przy ul. Ząbkowskiego Nr 30/  
/155 tel. 19-35-25.
- Zenobia Awdziejczyk mieszka w Warszawie przy ul. Elbląskiej Nr 37  
tel. 33-80-99.
- Ich bracia ~~Łonek~~ i Michał i siostra Wala - też mieszkają w Warszawie,  
niestety nie żyją Ich Babcia, Mama i starsza siostra Lidia.
- Ania Jańczenia /Dzięciołowska/ mieszka w Warszawie przy ul. Rogól-  
skiego 5/17 tel. 13-72-11.
- Ela Kotarska mieszka w Warszawie przy ul. Solec 52/10 tel. 26-12-56
- Andrzej Bohdanowicz - mieszka w Warszawie - tel. 29-91-38.
- Wanda Spryczyńska mieszka i pracuje w Olsztynie - tel. 27-90-12.
- Janek Łysakowski mieszka we Wrocławiu przy ul. Inżynierskiej 53/6.
- Teresa Łysakowska /Babula/ mieszka we Wrocławiu ul. Oporowska 10/1  
tel. 61-87-92.
- Zdzisław Łysakowski mieszka we Wrocławiu
- Janek Szowik mieszka we Wrocławiu ul. Miedzielskiego Nr 14/7
- Józefa Górską, która jak narazie bezkutecznie poszukuje dwóch braci  
i siostrę zabranych siłą w 1942 r. /w wieku 2-5 lat/ do sowieckiego  
Domu Dziecka - mieszka we Wrocławiu, ul. Seredyńska Nr 29/4  
tel. 57-53-34.
- Pani Borych Anna - kierowniczką Polskiego Sierocińca w Namłutce -  
niestety od kilku lat nie żyje - przed śmiercią mieszkała u swojej  
córci Pani Haliny Pasowskiej w Warszawie przy ul. Maltańskiej 5/11
- Moja siostra Jadzia Ivanowska, która jako jedyna obok mnie dość  
dokładnie pamięta nasze cierpienia i przeżycia /pozostałe rodzeń-  
stwo nic nie pamiętają z tamtych lat/ mieszka w Olsztynku ul. Nic-  
kiewicza 11/4 tel. 475.

Wszystkie w/w osoby są żyjącymi świadkami, wszystkich naszych  
wspólnych cierpień, zdarzeń i przeżyć jakie wyżej opisałem.

Marian Papiński  
ul. Słężna Nr 190/1  
53-113 Wrocław  
tel. 67-98-82